Nr. 22. Warszawa, d. 16 Listopada 1908 r. R. X.

ŁOWIEC POLSKI

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego: Nowy-Świat 35 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego“ adresować należy: Smolna 40).

KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

W listopadzie wolno polować na: dziki, łosie (byki), jelenie (byki), sarny (rogacze), zające, głuszce, cietrzewie, jarząbki, kuropatwy, dropie, kwiczoły i wszelkie ptactwo przelotne, a do 1 (14) listopada na klępy, łanie i kozy.

Lunacya w listopadzie.

Nów d. 23 o g. 4 po poł.
Pełnia d. 30 o g. 4 po poł.

Wschód i Zachód Słońca

w listopadzie.

Dnia	Wschód g.	Wschód m.	Zachód g.	Zachód m.
16	7	26	4	1
17	7	28	3	59
18	7	30	3	59
19	7	33	3	58
20	7	35	3	58
21	7	37	3	57
22	7	38	3	56
23	7	39	3	55
24	7	40	3	54
25	7	41	3	53
26	7	42	3	52
27	7	43	3	51
28	7	45	3	50
29	7	47	3	49
30	7	48	3	48

ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 232.

Nr. 22. Warszawa, d. 16 listopada 1908 r. Rok X.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.



W KNIEI.

Zwierzyna w puszczy Białowieskiej.

(Dokończenie).

Było już dobrze pod wieczór, gdy wchodziliśmy we wrota zwierzyńca strażnicy hejnowskiej. Dobrą wiorstę przeszliśmy, zachowując się cicho, aby nie spłoszyć stada, które w tym czasie miało znajdować się w pobliżu drogi. Złota czerwień zachodzącego słońca rozpylona sączyła się po przez korony niebotycznych dębów; miły, tomkowy zapach miodunki, ostrawa woń żubrówki, tej ulubionej paszy żubrów przesycała powietrze; cisza zachodu objęła ciepłem swem tchnieniem całą knieję: nawet ptaszęta zamilkły.

Za strzelcem, wypatrując oczy, szliśmy z niespokojnem czekaniem.

— Patrzajcie, tam na polanie — rzekł do nas.

— Gdzie? tam przecież zwały drzew — rzekłem.

— Patrzajcie tu, i pokazał mi za ścianą drzew liściastych całe stado żubrów.

Było ich szesnaście. Zaszliśmy je o jakie 150 kroków. Samica z dwoma cielakami pasła się spokojnie na boku, inne żubry też nie zwracały na nas najmniejszej uwagi, tylko jeden najbardziej rosły, ciemno-kawowej maści złemi ślepiami kilka razy nas obrzucił.

— Zła bestya, nikomu z drogi nie zejdzie — pouczał strzelec.

— Często stanie na przeciw wozem jadącego chłopa, lub pieszo idącego strzelca i nie ustąpi. Krok postąp, a pożegnaj się z żywotem. Obejdziesz go z oddala, to nawet się obejrzeć nie jest łaskaw za tobą.

— A w puszczy żubr straszny? — pytałem.

— Czasem się spotka i sztuka zła; na człowieka jednak się nie rzucą, konie to kaleczą. W lecie żubry bardziej są bojaźliwe, bo często ich się płoszy, ale zimową porą, gdy któremu głód dokuczy, to często na drogę wychodzi i z furmanek buraki wyjada. Wtedy, zabawa dopiero, niekiedy chłop boi się, nie płoszy go. Taki to nasz, jedyny bandyta w Białowieży—opowiadał rozmowny strzelec.

Żubr, ten król puszczy Białowieskiej, w wiekach średnich w lasach środkowej Europy, a szczególniej w borach i puszczach Rzeczypospolitej, bardzo liczny, — obecnie jest rzadkością. Zwierzę to, szeroko niegdyś znane i rozsiedlone na kuli ziemskiej, obecnie dokonać przyszło swego żywota w puszczy Białowieskiej. Na Starym lądzie tylko w Białowieży przechowało się to osobliwe zwierzę, na nowym zaś w liczbie niepomiernie małej spotyka się żubr w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki. Jeszcze w końcu 17 w., a nawet w 1 części 18 w. tułał się niekiedy żubr w innych miejscowościach Europy, ale bardzo rzadko. Od w. 15 stopniowo ginie, póki się ostatecznie nie cofnął do potężnej, ostatniej warowni dzikich ostępów przy źródłach Narwi i Narewki, gdzie od wieku XVI został otoczony opieką królewską. A był już czas po temu wielki, bo w miarę wzrostu zaludnienia i rozwoju kultury, człowiek, lasy trzebiąc, wypowiedział temu potężnemu stworzeniu walkę ostateczną. Dziś te nieliczne stosunkowo stada żubrów są niedobitkami fauny przeszłych wieków, są zabytkami poprostu czasów zamierzchłych.

Żubr właściwie jest odmianą wołu, najosobliwszego tylko gatunku. O przepięknie rozwiniętej piersi, okrytej równie jak podgardle i podbródek kudłami maści szarokawowej lub ciemno-brunatnej, zależnie od pory roku, osadzony na przednich, atletycznie zbudowanych nogach, zdumiewających muskularnością, o znacznie wyższym przodzie od tyłu — doprawdy imponujące robi wrażenie na tle odwiecznej kniei.

Grzywa i broda przydają mu znacznie dzikości. Ślepie czarne, niespokojne z uporczywością często wyzierają z bardzo szerokiej głowy. Rogi ma niewielkie.

Z tyłu jednak, szczególniej, gdy karku pochyli, mało się żubr różni od zwykłego wołu.

Żubr rośnie do lat siedmiu, żyje od 30 do 40 lat.

Rok rocznie następuje dokładne ich obliczenie, wielce ułatwione przez to, że pojedyńcze żubry nie są zbyt bojaźliwe i można ich zajść, a żyjące w stadach trzymają się stale pewnych obrębów zimową porą, w blizkości rzek i zdrojów, przy których zwykle stoją dla nich stogi siana. Każdy więc strażnik wie niemal z dokładnością o liczbie żubrów w swoim obrębie. Były lata ciężkie dla żubrów, ginęły one, i liczba ich się znacznie zmniejszyła. Od roku zaś 1885 liczba żubrów powoli się zwiększa: w roku 1888 liczono ich 440.

W roku bieżącym ma być ich podobno około 700 sztuk; wydaje mi się jednak to liczbą dość nieprawdziwą, podaję ją więc na odpowiedzialność miejscowej straży leśnej.

Stada żubrów są obecnie nie bardzo liczne — po kilkanaście zazwyczaj sztuk.

— Oj, były u nas dobre czasy, były inne — opowiadał mi stary gospodarz, u którego nocowałem. Wszystkiego było dosyć: puszcza, dobrodziejka, nikogo głodem nie zmorzyła. A żubrów — to i zliczyć było trudno. Gdym

---

NA FARBOWIKI.*)

— Tam stadko jest cietrzewi, Staśka znalazł.

— Jaki Staśka? Ten, co tobie sprzedał psa na kaczki? Zdanowski?

— A tak, ten sam — on. Ot, teraz, niedawno, jechał do miasta, tak i powiedział. Żeby tak jutro rano wstać, to można podjechać. Wicio konie założył, to prędzej tam będziem.

— Dobrze, panie Dukalski, pojedziemy. Jutro o świcie będę u was i „Bekasa“ przyprowadzę. Bieda tylkó, że źle chodzi w lesie, gorącuje się, może spłoszyć. Cóż robić, musi się kiedyś nauczyć i leśnego polowania. Pogoda, zdaje mi się, dobra...

— A tak, deszczu nie powinno być.

— Dobrze, więc jutro rano będę napewno.

Temi słowy skończyła się moja rozmowa z leśnikiem Dukalskim. Gruby, łysy z ciemno-rudą brodą, 40-letni mężczyzna, nie był wcale stworzony na myśliwego, nie wzruszały go cietrzewie, które co rok tokowały o kilkaset kroków od jego leśniczówki, stojącej na wzgórzu na skraju lasu. Pan Dukalski wolał dobrego konia od fuzyi i torby myśliwskiej, wolał targować się z cyganami na jarmarkach, zaglądać w zęby koniom i podnosić ogony, niż słuchać grania gończych, lub brnąć po kolana w bagnie w pogoni za marną kaczką, lub jeszcze marniejszym bekasem. Lubił jednak, gdy za jego sprawą coś wpadnie do mej torby i od czasu do czasu zapraszał na polowanie. Sam nigdy nie chodził, lecz wysyłał syna swego, Wicia, niemniej tęgiego myśliwego. Ten, przynajmniej prochu nie żałował i, jak tylko ujrzał zwierzynę, strzelał, nie zważając na metę. On właśnie miał mnie jutro zawieźć do Zdanowskiego, który znalazł stadko cietrzewi.

Zdanowski, myśliwy z powołana, bez psa i bez fuzyi, mieszkał we wsi za lasem. Mówię myśliwy, bo mało kto lepiej znał od niego obyczaje leśnego ptactwa, wiedział, gdzie można znaleźć zwierzynę, jak wielkie są stadka, gdzie najlepsze toki cietrzewi. Umiał też od biedy psa wytresować, a strzelał prędko i celnie. Pamiętam, tej wiosny pożyczył jednorurkę od sąsiada i zastrzelił jednego ranka trzy cietrzewie na toku.

Przygotowałem się więc do jutrzejszej wyprawy: oczyściłem i naoliwiłem igły u wiernej trójlufki, zrobiłem kilka nabojów i nastawiłem budzik na trzecią.

Nazajutrz pierwszą moją czynnością było przekonać

*) Farbowik v. farbownik — młody cietrzew zrzucający pierwsze pióra.

bydło pasał, to często widziałem stada, złożone ze stu i więcej sztuk.

— A dziś? — pytałem.

— Dzisiaj, Boże się pożal, administracya tak jakoś rządzi — począł wyrzekać starowina.

Lecz, czy tylko administracya? Okoliczni chłopi po dawnemu cichaczem, w głuchej pomroce nocy, często stada żubrów „schodzą“, często sztuka z kniei do wsi się przenosi.

— Polowaliście kiedy na żubra? — pytałem pewnego razu Rusina, który mię wiózł do stacyi.

— Nie wolno — odpowiedział wymijająco.

Snadź rychło jednak zapomniał o naszej rozmówce, bo, kiedy mimowoli zapytałem, jakie w smaku jest mięso żubra, bez namysłu odrzucił:

— O, smak dobry, do wołowiny podobny, choć dziczyzną zatrąca.

Ten — to napewno nigdy nie kosztował żubra, bo polować niewolno — pomyślałem, nie zdradzając się ze swem spostrzeżeniem.

Chłopi okoliczni niszczą zwierzynę, która na polu wyrządza im znaczne szkody; nie oszczędzają też i żubra.

Automatyczna strzelba śrótowa
systemu SJÖGREN.

Towarzystwo Akcyjne Fabryki broni i nabojów w Sztokholmie — *Aktiebolaget Swanska Vapen-och Ammunitionsfabriken* — wypuściło ostatnio w świat nową strzelbę automatyczną, pięciostrzałową, cal. 12, wynalezioną przez inżyniera szwedzkiego, nazwiskiem Axel Sjögren.

Jak wiemy, stosownie do zasady, na której opiera się działanie mechanizmu, broń automatyczna bywa kilku kategoryj:

1) broń z cofającą się lufą i zamknięciem, które w chwili strzału stanowią nierozerwalną całość wraz z lufą (bronie: Maxima, Mannlichera, Borharda, Browninga, pistolety Mausera, Rota, Bergmana i in.);

2) broń z lufą nieruchomą i z zamknięciem sprężynowem (magazynka Winchestera, pistolety Browninga, Dreisego, Piepera, Webleya i in.);

3) broń, działająca pod wpływem ciśnienia gazu na specyalny tłok; w chwili strzału gazy przez otwór, zrobiony w ściaine lufy, przechodzą do specyalnego cylindra (jak w maszynie parowej) i, działając na tłok, wprowadzają mechanizm w ruch (systemy. Odkolek, Cler i in.).

4) system posuwającej się naprzód lufy, skonstruowany przez Mannlichera.

Każdy z tych systemów ma swoje zalety i wady.

System Sjögrena polega na zupełnie nowej zasadzie. Lufa jest nieruchoma wprawdzie, i zamknięcie w chwili strzału stanowi z lufą całość nierozłączną, pomimo to jednak system ów różni się bardzo od wyżej przytoczonego systemu 3-go. Broń ta mianowicie działa wskutek siły oddania, lecz w ściślejszem znaczeniu, gdyż mechanizm tutaj zostaje wprawiony w działanie wskutek siły oddania *całej* broni, t. j. wskutek uderzenia, odbijającego się na ramieniu strzelającego.

Mechanizm ów nie działa, jeżeli: 1) broń swobodnie wisi na pasku i 2) jeżeli oprzemy broń kolbą o ścianę. (Doświadczenia tego czynić, oczywiście, nie należy, gdyż może się przytem łoże złamać.)

Pobieżny opis mechanizmu tej broni przedstawia się jak następuje:

Zamknięcie składa się z dwóch części i waży stosunkowo dosyć dużo, mianowicie 0,615 klgr. Obydwie części zamknięcia łączy sprężyna. Dźwignia, bez sprężyny, znajdująca się wewnątrz zamknięcia, w chwili gdy broń jest zamknięta, łączy nieruchomie za pomocą swego dolnego końca przednią połowę zamknięcia z nasadą lufy i z lufą. Podczas strzału, wskutek szarpnięcia, cała broń cofa się w tył. Zamknięcie, które się swobodnie ślizga po nasadzie lufy i które przytrzymuje tylko sprężyna, zaprzestaje wskutek własnej inercyi tego ruchu, sprawia ciśnienie na tylny (górny) koniec dźwigni, i naciska jeszcze mocniej dolny koniec dźwigni. W chwili, kiedy ruch wsteczny broni, wskutek sprężystego oporu ramienia strzelca, ustanie, zamek, który został wprawiony wraz z całą bronią w pewną szybkość, wskutek inercyi zachowuje swój ruch wsteczny. Teraz już zamknięcie działa w kierunku odwrotnym na dźwignię, której koniec dolny zostaje wskutek tego uniesiony w górę, przednia połowa zamknięcia swobodnie cofa się w tył i wyrzuca wystrzeloną gilzę.

Przewaga systemu Sjögrena polega na tem, że mechanizm działa tu nie wskutek bezpośredniej siły gazów, lecz wskutek inercyi części zamknięcia, prawie niedostrzegalnej dla oka. A że mechanizm wtedy tylko działać mo-

---

się o pogodzie. Otworzyłem okienko (szyby zapłakane nie pozwalały zobaczyć, jak świat Boży wygląda). Orzeźwiające, ranne powietrze lunęło mi przyjemnie w twarz. Sad, gaj, niebo—wszystko było zasłonięte siwym, matowym zmrokiem, najmniejszego wiatru nie słychać — słońce jeszcze spało. Chwilę potem byłem na ganku w bojowym rynsztunku w towarzystwie Bekasa. Zdziwił się trochę, gdy go zawołałem, bo nie przywykł do tak wczesnych spacerów; niedługo jednak myśląc, ziewnął przeraźliwie, wyciągnął zdrętwiałe od snu nogi i drobnym, zadowolonym kłusikiem podążył za mną.

Droga była niedaleka — z półtorej wiorsty. Szedłem raźno, giętkim, wesołym krokiem, jak to się zwykle rano chodzi. Na górze za sadem czekał mnie widok niespodziewany, wspaniały — stanąłem, jakby w ekstazie: przedemną daleko, jak okiem sięgnąć, zimowy krajobraz! Ciemne, długie obłoki na wschodzie, poprzecinane wstęgi lasów dalekich, pola i łąki, — wszystko było zakryte mgłą białą, ledwo przezroczystą. Na horyzoncie leżało ogromne, lodowe morze z wyspami, zatokami, przylądkami, ciągnęły się łańcuchy śnieżnych gór, stały lasy zaśnieżone... Zdawało mi się, że widzę kawał zaczarowanego królestwa. Martwy, skamieniały, chłodem wiejący, lecz wspaniały był widok!

Cietrzewie jednak nie dały mi dłużej się zachwycać — ruszyłem dalej i widzenie znikło za ciemnym lasem, biegnącym wzdłuż mej dróżki. Właśnie wrony po cichu opuszczały nocleg w lesie i tajemniczo we mgle leciały na żer. Co chwila widniej się stawało, niebo błękitniało. Jutrzenka się budziła, schowana za lasem. Leniwe mgły, włóczące się po łąkach i rowach, zbudzone — jak dymy, kłębami biegły w górę i już były nad lasem, gdy je słońce spotkało i stopiło ogniem swych promieni.

Leśniczówka już była przedemną. Naprzeciwko mnie wyleciały zajadłe psy. Jeden z nich, Waltrop, najdzielniej nacierał na przestraszonego Bekasa, tulącego się do nóg moich. (Waltrop gończy znakomitego rodu, jak zapewniał Wicio, lubił ganiać głosem wrony po polach i razu pewnego stanął do kszyka).

Dukalski, usłyszawszy psie głosy, wyszedł na ganeczek.

— Dzień dobry!

— Dzień dobry, panie Dukalski. Co, jedziem?

— A tak, Wicio zaraz wyjdzie, — ja pójdę konia zakładać — to mówiąc, wszedł do stajenki, wyprowadził wielkiego, siwego konia i zaczął powoli zaprzęgać.

Po chwili zjawił się Witold Dukalski z fuzyą i z nabojami w pasie, czerwony, pleczysty młodzieniec o grubym, garbatym nosie, długich, złotych włosach i pałąkowato wygiętych nogach. Koń już był zaprzężony, więc, nie zwlekając, siedliśmy i ruszyliśmy w drogę.

że, gdy kolba oparta jest w chwili strzału o przedmiot sprężysty, jak w danym wypadku naprz. — o ramię strzelającego, przeto broń nie wystrzeli ani wówczas, gdy będzie wisiała na flintpasie, ani kiedy będzie oparta kolbą o przedmiot niesprężysty, twardy, naprz. o ścianę.

Broń systemu Sjögrena posiada, właściwie mówiąc, dwa bezpieczniki: jednym jest rączka zamknięcia, odpowiednio obrócona, drugim zaś — bezpiecznik zwykły, zasuwka, jaka się zazwyczaj na szyjce łoża znajduje.

Dodać należy, że próby strzelania z tej broni, przy zastosowaniu fotografii, wykazały, iż zamknięcie uwolniło dźwignię wówczas dopiero, kiedy śrót znajdował się już po za lufą w odległości 1,20 metra. Sztuczne ramię, gumowe, potwierdziło, iż mechanizm działa tylko przy zastosowaniu oporu ciała sprężystego w tym stopniu, w jakim sprężystość posiada ramię ludzkie. Gdy gumę zamieniono przez wojłok, mechanizm nie działał.

Psy w Konstantynopolu.

(Dokończenie).

Po spożyciu wieczerzy, psy przechadzają się zadowolone, a w nocy oddają się szalonym harcom, które niekiedy zamieniają się w kompletne walki. Stąd pochodzi znana legenda, opiewająca, że w Konstantynopolu niepodobna jest spać. W gruncie zaś rzeczy psy naogół zachowują się spokojniej, aniżeliby można przypuszczać, i wszystko odbywa się w porządku.

Lato jest najlepszą porą zarówno dla psów, jak i dla mieszkańców. Pierwsze z nich znajdują z łatwością cień pod domami, wodę w kamiennych miskach przed domami tureckimi — skąd urosło podanie o dobrym Turku, opiekującym się psami, — w Peru zaś w basenach miejskich, u których same podnoszą sobie przykrywy. Lato jest to sezon wskazany do oddawania się lenistwu w tych krainach. W listopadzie psy dostają futra zimowego, zwijają się w kłębek i układają się razem ściśle, aby korzystać wzajemnie z ciepła. W czasie niepogody kryją się gdziebądź — pod daszkami, w kurytarzach, w skrzyniach; ma się wtedy smutny widok biednych stworzeń, drżących od chłodu zbrukanych, wyczekujących dzień po dniu końca tej srogiej zimy.

Sprawa samic ma pierwszorzędne znaczenie w życiu psów ulicznych i jest przeważnie powodem wszelkich bitew. Ponieważ jednak dzieje się to pomiędzy psami wszystkich innych krajów, a nawet wśród istot, które przywykliśmy stawiać na najwyższym szczeblu hierarchii zwierzęcej, więc nie będziemy się rozwodzić nad tą sprawą. Lepiej jest zatrzymać się chwilę nad instynktem solidarności, nad inteligencyą i nad potęgą miłości macierzyńskiej tych zapoznanych istot. Jest się nieraz świadkiem wzruszających objawów miłosierdzia i współczucia dla nieszczęśliwych współbraci; zdarza się to nawet niekiedy pomiędzy psami różnych dzielnic, byle tylko nienaruszalność terytoryum była zachowaną.

Psy starają się wszelkiemi siłami zachować dobre stosunki z mieszkańcami swej dzielnicy; wybierają po temu chwilę odpowiednią, zwracając się np. do zapóźnionych wieczorem przechodniów, od których nie żądają nic więcej, jak tylko przyjaznych oznak; skoro znajomość zostanie raz zawartą, już ich później rozpoznają. Znaczna jest liczba mieszkańców Konstantynopola, którzy mają mnóstwo takich czworonożnych przyjaciół, eskortujących ich, gdy idą przez ulicę. Psy rozróżniają szybko przyjaciół od nieprzyjaciół. Jeśli przechodzień odpędza je, oddalają się smutne, jakby ich godność zadraśniętą została.

Można twierdzić bez przesady, że psy uliczne posiadają swój język i nigdy nie pomylą się co do znaczenia jakiegoś skowyku lub szczeknięcia; tak np. głos nawoływania w razie walki jest zupełnie inny od głosu bólu. Wszelako ich inteligencya sięga dalej; są dowody, że znają one poczucie czasu.

Wbrew złej reputacyi, jaką mają w Europie, psy konstantynopolitańskie odznaczają się niezwykłą łagodnością charakteru. Gryzą one tylko tych, którzy nadeptują je umyślnie, lub biją brutalnie. Względem dzieci okazują jaknajwiększą cierpliwość; wyjątek stanowią tylko suki, dbałe o swe szczenięta. W dziedzinie miłości macierzyńskiej spotyka się objawy inteligencyi, oraz taki zasób instynktu, że w podziw wprawiają świadków najwięcej na to przygotowanych.

Psy uliczne wykazują na każdym kroku poszanowanie własności człowieka; unikają nawet tych kradzieży, których się zwykle dopuszczają ich pobratymcy. Nawet wtedy, gdy głód cierpią do tego stopnia, że zmuszone są zjadać kawałki drzewa lub różnych metalów, kradną rzadko kiedy, jeśli im się jeść nie daje, a rzadziej

---

— Żeby wam się udało choć po jednym każdemu zabić! — krzyknął nam w ślad Dukalski.

— Da Bóg, — więcej przywieziemy! — rzekłem z otuchą.

Bekas, chociaż się tego natarczywie domagał, nie zasiadł między nami — podróż niedaleka, niewiele się zmęczy i będzie mniej się gorącował. Droga nas prowadziła, starym przeważnie, świerkowym lasem. Jechaliśmy wolnym truchtem. Wicio nie należał do mruków — chętnie rozmawiał, — najwięcej zaś lubił opowiadać o swych, naprawdę nadzwyczajnych, myśliwskich przygodach; powtarzał często te same historye i za każdym razem mogłem zauważyć pewne zmiany w szczegółach.

Najwięcej znaną była historya o szpakach:

Pewnego razu Wicio zauważył na polu żerujące olbrzymie stado szpaków, podkradł się więc i strzelił; większa część niezliczonego stada została na ziemi. Wicio zbierał, zbierał, i uzbierał wysoką kupę. Tyle było zabitych szpaków, że musiał biedz do domu po kosze. Odrazu wszystkich nie mógł zabrać, więc kilka razy z koszem powracał. Oprócz tego tyle było niedobitków rozsypanych po całem polu, że Wicio dobrze się spocił, nim je połapał,— pewien był jednak, że wszystkich nie wyszukał, gdzie tam! A ile roboty było ze skubaniem i smażeniem, to trudno powiedzieć!

Trzeba było przyznać, że rzadko się zdarza tyle szpaków jednym położyć strzałem, i że fuzya, jako też i strzelec musiał być doskonały. Tę sławną flintę miałem właśnie przed oczyma — była to dobrze wysłużona odtylcówka o nadwyrężonym, chybającym się prawym kurku.

W tak miłej rozmowie czas prędko przeleciał, — las zaczął się przeświecać i ujrzeliśmy wioskę wśród złotych pól na wzgórzu. Słońce już wyglądało z nad lasu, gdy stanęliśmy przed chatą Zdanowskiego.

— Staśka, a Staśka, gdzie cietrzewie? — krzyknął Wicio, nie złażąc z wózka.

Coś w chacie się zaruszało, drzwi skrzypnęły i zza węgła ukazał się Staśka, chudy, kościsty, jeszcze nie stary człowiek o drobnych rysach, małych niebieskich oczach, rzadkiej, żółtej bródce i wąsach; długie włosy wyglądały mu z pod zielonej, niegdyś czarnej czapki, robił wrażenie zbiedzonego i zarazem pogodnego biedaka. Jasno, spokojnie patrzyły jego oczki z żółtej, pomarszczonej twarzy.

(Dok. nast.)

jeszcze napastują drób domowy, spotykany na ulicach. Wyjątek w tym razie stanowią psy mostowe, które okradają przechodniów w sposób bezwstydny.

Niejeden zapyta wszakże, czyż obok tych zalet, psy uliczne nie mają wad żadnych? Mieszkańcy Peru i cudzoziemcy przypominają co chwila dziwny upór psów w usuwaniu się z drogi w miejscach, gdzie ruch jest nadzwyczaj ożywiony. Niewątpliwie, jest w tem pewna anomalia i wskutek tej okoliczności spacery tracą cały swój urok; zważywszy jednak, że przy pewnej dozie zręczności można posuwać się naprzód bez trudu, niepodobna jest mieć za złe tym biednym stworzeniom ich ospalstwa czysto wschodniego i wywołanego przyczynami bardzo poważnemi; najmniej może im robić co do tego zarzuty Turek, rozciągnięty na swych matach lub Wenecyanin wylegający się na ulicy.

Psy uliczne są bardzo bojaźliwe i skowyczą przy najmniejszym bólu; są przytem zazdrośne do tego stopnia, że biją się między sobą, gdy jednego z nich pogłaskać. Co się tyczy niewyspanych nocy, to są one nieliczne, gdyż bitwy trwają zwykle krótko.

W kwestyi hygieny wspomniany dr. Remlinger daje nam odpowiedź w jednej ze swych świeżo wygłoszonych konferencyj; a sam charakter jego stanowiska nadaje powagę temu orzeczeniu.

„Wścieklizna trafia się bardzo rzadko w Konstantynopolu, nie dlatego, aby psy tutejsze były na nią odporne, lecz ze względu, że choroba ta przybiera tu stale formę paralityczną. Parchy psów tutejszych są wyłącznie odmiany sarkoptycznej, która bynajmniej nie udziela się człowiekowi. Wogóle rola psów w rozpowszechnianiu się wszelkich chorób zakaźnych nie została bynajmniej wykazaną. Jeśli dodamy do tego, że rzekome usługi, jakie spełniają psy przy oczyszczaniu ulic z odpadków, istnieją tylko w wyobraźni niektórych Europejczyków, to przyjdziemy do przekonania, że utrzymanie lub wytępienie psów ulicznych jest najzupełniej obojętne dla zdrowia publicznego.“

Pogląd ten daje nam kategoryczną odpowiedź i usuwa błędne pojęcia o tych psach rzekomo niechlujnych i niby to zajętych od rana do nocy zjadaniem nieczystości. Oprócz jednak nieświadomych stanu rzeczy Europejczyków, psy uliczne mają jeszcze swych poważnych przeciwników. Są to przedewszystkiem śmieciarze, którzy je ciągle niepokoją swymi haczykami, skąd pochodzą nieustające swary; dalej woźnice, rozjeżdżający je bez litości, lub smagający je swymi batami; wreszcie przechodnie wszelkiego rodzaju, cudzoziemcy, Turcy lub Lewantyjczycy, którym brak najelementarniejszych zasad tolerancyi i ludzkości.

Pozostaje nam jeszcze wyświetlić przyczyny tego dziwnego położenia, a mianowicie ustanowić prawo, na mocy którego cały ten świat psi znalazł się w warunkach wyżej opisanych; i przyznać musimy, że odpowiedź na to będzie bardzo niekompletną. Nikt nie wie, w jaki sposób ta rasa psów zagnieździła się na brzegach Bosforu; bo chociaż spotyka się sporo tych zwierząt w Smyrnie i Beyrucie, to jednak biorąc nawet na uwagę ich stosunkową ilość, nigdzie nie znajdziemy ich tyle, co w Konstantynopolu. Ale za to możemy zdać sobie sprawę, jakie przemiany i jakie ewolucye przechodziła ta rasa, aby się przystosować do tak trudnych warunków życia, w codziennej walce z głodem i niepogodą.

Prawo geograficzne uczy nas, że w miarę jak oddalamy się od krain, gdzie warunki bytu są łatwe, ludzie zmuszeni byli pracować więcej i robić szalone wysiłki energii, aby wyciągnąć z lichej ziemi materye odżywcze. Po wiekach pracy i codziennych zwycięztw nad niełaskawą przyrodą, ludzie Północy wytworzyli rasy silne, przedsiębiorcze i przemysłowe, gdy tymczasem plemiona południowe śpią dotychczas pod swem błękitnem niebem.

Tak samo i rasa psów ulicznych w Konstantynopolu, w miarę mnożenia się, zmuszoną była prowadzić walkę o byt z przyrodą, z ludźmi, wytwarzając w sobie z dnia na dzień wytrzymałość, dzikość i wszelki brak litości. W psach tych rozwijała się inteligencya i całe skarby sprytu, aby stawić czoło przeciwnościom; i jeżeli dzisiaj, jak to można było widzieć, wyróżniają się stanowczo od swych pobratymców z Zachodu, jeśli mają instynkt o wiele silniej rozwinięty, aniżeli psy europejskie, jeśli spotyka się między nimi pewien rodzaj organizacyi społecznej, która jest niechybnym znakiem ich wyższości, to zawdzięczają tylko przez wieki trwającym trudnym warunkom bytu, tylko swemu nieszczęsnemu położeniu.

I dziwnym zbiegiem wypadku, który często lubi kontrasty, ta lekcya energii była daną najbardziej leniwemu narodowi na całym świecie. Wśród wielkiego miasta, którego mieszkańcy nie mają pojęcia o najpierwotniejszym przemyśle, rasa tych zwierząt walczyła o swą egzystencyę. Gdy się pomyśli, że w tem mieście wszelka działalność ludzka jakby zamarła, pomimo woli jesteśmy zmuszeni porównać człowieka ze zwierzęciem, a porównanie to jakże niekorzystnie wypada dla tego pierwszego.

Powiecie, że przyczyną tego jest wrodzone lenistwo południowców, lub fatalizm muzułmański. Mało nas obchodzi powód, patrzymy tylko na rezultaty. Reforma jest tu niemożliwą. Jeszcze długie lata Konstantynopol będzie przytułkiem rasy leniuchów do niczego, gardzących psami, które zasługują ze wszech miar na uwagę.

W mieście, gdzie anarchia panuje niepodzielnie, gdzie każdy rozkazuje, a nikt słuchać nie chce, widzimy psy zorganizowane w karne gromady — dziwny i komiczny paradoks! Powiedziano kiedyś, że miasto cesarza Konstantyna nie przestanie zadziwiać świata przez ciąg wieków.

Wschód jest krainą mirażu.

Próby polowe wyżłów
w Stanach Zjednoczonych.

(Dokończenie).

Próby, które się odbywają na zachodzie i na północo-zachodzie na kurach preryj, sprzyjają bardzo rozwinięciu zalet polowych w psach; olbrzymie przestrzenie płaskie i odkryte, gdzie się trzyma ta zwierzyna, pozwalają młodym psom widzieć swego tresera na znaczną odległość, przez co nie tracą z nim łączności, pozostając ciągle pod jego wpływem: jest to wielki awantaż, którego brak w krajach falistych i pokrytych gąszczami. Jeśli młody pies szuka z pewną metodą i wykazuje pewną dozę inicyatywy, jeśli nadto posiada węch odpowiedni, to tresura rozwinie w nim te przyrodzone zdolności i okupi sowicie koszta, jakie z natury rzeczy pociąga za sobą.

Pomiędzy tysiącami pointerów i setterów, wybranymi rok rocznie przez hodowców, znaczna liczba znajdzie się niewątpliwie takich, które przywykliśmy nazywać dobrymi psami myśliwskimi; mało jednak z nich łączy w sobie dobór zalet, niezbędnych do osiągnięcia zwycięztwa na próbach. Sumienny treser nigdy nie powinien nadużyć zaufania, jakie w nim pokłada właściciel psa, powodując mu znaczne koszta bez żadnej szansy powodzenia.

Szczęście i tutaj, jak wszędzie, odgrywa niewątpliwie znaczną rolę. Pies ciężki, bez inicyatywy i stylu w robocie, jeśli tylko ma szczęście znaleźć kilkakrotnie zwierzynę, może odnieść zwycięztwo nad psem pierwszorzędnych zalet, któremu nie udało się wpaść na trop zwierzyny.

Można jednak przyjąć za regułę, że jeśli tylko treserzy odesłali właścicielom lub wycofali psy, nieposiadające odpowiednich zalet, to ogół psów, przedstawionych do prób, będzie reprezentował bardzo wysoką klasę. Są

to mianowicie psy, które pracują najlepiej, które robią stójki na największe mety, chodzą daleko, polują niezależnie i wynajdują największą ilość zwierzyny. Nie można się też dziwić, że takie psy dochodzą do bardzo wysokich cen, bo od 500 do 5000 dolarów (od 1000 do 10,000 rubli).

Rzecz dziwna, że od czasu, jak field-trial'e zostały zaprowadzone w Ameryce, to jest mniej więcej od 25 lat, prawie wyłączny przywilej zdobywania nagród posiadają wyłącznie pointery, settery angielskie lub settery Lewellyn'a. Bardzo mało gordonów lub setterów irlandzkich mogło rywalizować z tymi psami. Niektóre irlandery zjawiły się na konkursach, lecz nie były w stanie wykazać dostatecznej klasy, szybkości, ni stylu, by stanowić rasę tak zwanych *winners* (zwycięzców).

Publiczne próby polowe pointerów i setterów w Ameryce rozwinęły w nich zalety myśliwskie w najwyższym stopniu. Konkursy te z roku na rok stają się coraz popularniejszymi; w każdym sezonie pojawiają się coraz to nowe towarzystwa. Urządzają one próby w sposób tak skombinowany, że treserowie mogą przejeżdżać ze swymi psami z jednego konkursu na drugi, biorąc udział w jakich dwunastu próbach i zdobywając (o ile psy ich zwyciężą) nagrody dla treserów, przyznawane przez różne towarzystwa, a które wynoszą od 300 do 600 dolarów (od 600 do 1200 rb.) na każdą próbę.

1-szy	otrzymuje	40%	od wpisów.
2-gi	„	30%	„ „
3-ci	„	20%	„ „
4-ty	„	10%	„ „

Niektórzy treserzy zawodowi robią więc na tem doskonałe interesy, zarabiając nieraz w ciągu roku od 2500 do 4000 dolarów (od 5000 do 8000 rb.).

Opłata od psa w czasie sezonu wynosi zwykle 12 i pół dolara (około 25 rb.) miesięcznie; obejmuje ona pożywienie i tresurę. Jeśli pies okaże się wyjątkowo dobrym, to treser może zarezerwować sobie część nagrody, pozostawiając właścicielowi psa kłopot opłacenia wpisowego i *Starting Free,* które razem wynoszą 15 dolarów (około 30 rb.).

Widać z powyższego, że posyłanie psów na konkursy nie jest bynajmniej sportem dostępnym dla wszystkich kieszeni; jeśli jednak ma się pięknego i dobrego psa, to wszelkie koszta, łożone na niego, zwrócą się z procentem; nie licząc zadowolenia, jakie sprawia zwycięztwo elewa.

Sport ten, jak i wszystkie inne, powoduje nieraz przykrości i rozczarowania; że przytoczę tylko straszny procent śmiertelności pomiędzy elewami. Prawie wszystkie psy konkursowe są produktem łączenia w blizkiem pokrewieństwie, a tem samem bardzo delikatne. Dzięki ciągłemu mieszaniu zwycięzców konkursowych, wytworzyła się rasa niezwykle wrażliwa, nerwowa i skłonna do przejmowania wszelkich chorób, jakie dziesiątkują psie pokolenia.

Weźmy taki smutny przykład. Wybraliśmy wśród naszych elewów stawkę szczeniąt i doprowadziliśmy je do wieku sześciu miesięcy lub roku; w niektórych z nich pokładamy wielkie nadzieje. I oto widzimy, jak jedno po drugiem zdycha, kaszląc, niby dzieci dotknięte kokluszem. Czyż nie może doprowadzić do rozpaczy, gdy wychowamy psa, który dzięki staraniom i kosztom nabrał już wartości handlowej 500 lub 1000 dolarów, a który naraz zostaje dotknięty śmiertelną chorobą w chwili, kiedyby się zwróciły nam wszystkie koszta i trudy.

Niktby sobie nie wyobraził, co za rozmowy prowadzi się podczas field-trial'ów. Każdy jest pełen zapału, każdy łudzi się najpiękniejszemi nadziejami. Pies jego napewno weźmie nagrodę. Tymczasem z jakich 75 lub 80 psów zaangażowanych do próby, najwyżej 8 zostanie odznaczonych. Zresztą podobny wypadek trafia się na wszytskich field-trial'ach i we wszystkich krajach. Na mniejszą skalę powtarza się to i u nas. Ale dodać należy, że jeśli w wielu wypadkach szczęście stanowi o zwycięztwie, to z drugiej strony pies próbowany na jakich sześciu field-trial'ach, wykazać musi, czy ma w sobie materyał na zwycięzcę lub nie.

Próby wyżłów odbywają się w Ameryce na terenach odkrytych. Ponieważ regulamin wymaga, aby psy szukały na znaczną odległość od prowadzącego, więc też towarzystwa, urządzające konkursy, starają się zawsze o tereny, mające od 10,000 do 20,000 akrów i obfitujące w zwierzynę.

Jest to sport *par excellence* osób, miłujących rozrywki na świeżem powietrzu. Człowiek, którego sprawy zmuszają w mieście do siedzenia w ciasnem biurze, uczęszcza na nie chętnie dzień po dniu, tydzień po tygodniu przez czas trwania sezonu. Gdy pożądana chwila nadejdzie, przejeżdża on w towarzystwie swego psa całe Stany Zjednoczone od jednego końca do drugiego, biorąc udział we wszystkich field-trial'ach, które się odbywają pomiędzy 15 sierpnia a 1 lutego.

J. S.

W sprawie odpiłowywania rogów.

Czytałem artykuł zamieszczony w nr. 17 „Łowca Polskiego" b. r. p. t. „Odpiłowywanie rogów jelenich" i czuję się w obowiązku kilka słów w tej sprawie napisać, ponieważ nikt inny dotąd tego nie zrobił. Z góry zaznaczam, że nie będę się bawił w krytykę tego artykułu, bo nie o to mi chodzi, żeby zjadliwą krytyką odstręczać od pisania polskich myśliwych, i tak czujących wstręt pokaźny do pióra, lecz skoro raz jakaś kwestya została poruszona, nie można jej zostawiać w ten sposób, jak w tym artykule, nietylko nierozwiązaną, lecz jeszcze zagmatwaną—dając tytuł „odpiłowywanie rogów", a pisząc, i to nie wiele o przerąbywaniu — lecz moje zdanie w tym względzie pokrótce postaram się wypowiedzieć.

Zbieranie zdobyczy myśliwskich może mieć dwojaki charakter: albo to zbieranie odbywa się tylko dla przyjemności i korzyści własnej bez tej myśli, że materyał zbierany ma służyć sprawie myśliwskiej, albo też właśnie w tej myśli.

Najczęściej zachodzi wypadek pierwszy. Po zabiciu kozła, jelenia i t. p. odpiłowuje się rogi, mięso zjada, darowuje lub sprzedaje, a zdobyte rogi daje się do oprawy. Potem wiesza się je na ścianę swego ulubionego pokoju myśliwskiego, opatrzywszy datami, albo nawet i nie. Z lubością często przypatrujemy się tym rzędom rogów, przypominamy sobie przeżyłe wrażenia, odbyte trudy, jednem słowem wszystkie okoliczności zdobycia każdego okazu wśród tego barwnego i bogatego we wrażenia życia myśliwskiego, o którem jeden znajomy mi leśniczy zwykł mawiać, że jest to ciężki zawód, ale „pewny". Czasem jakieś monstrualne szczególnie różki opisze się i poda do wiadomości ogółu myśliwskiego i na tem żywot i owoce takiej kolekcyi się zwykle kończą. Podstarzały właściciel, gdy mu już nogi nie służą, spogląda z tkliwością na swoich starych znajomych na ścianie, potem zwykle umiera, i zbiór, o ile nie przejdzie w ręce jakiegoś drugiego amatora myśliwego, topi się i rozchodzi szybko między krewnych.

Zbiór więc taki był tylko pamiątką osobistą i posiadał wysoką wartość tylko dla właściciela, z jego śmiercią i ona poszła do grobu; dla drugiego, o ile taki wierał szczególnych myłkusów, lub niezwykle silnych rogów, nie ma wartości wększej ponad wartość rogów jako takich.

Tak, jak to opisałem, zbiera przeciętny myśliwy. Ale znam i inny jeszcze typ myśliwego rzadki i choć nie dlatego, ale bardzo cenny. Nazwijmy go idealnym myśliwym lub myśliwym-przyrodnikiem. Otóż taki myśliwy nie uważa przyrody za przestrzeń, w której się tylko może dowoli nastrzelać i zażyć trochę nowych albo odświeżonych

wrażeń. Dla niego czytelna księga przyrody zawiera stokroć więcej rozkosznych wrażeń i przyjemności, niż dla przeciętnego myśliwego, który obok tych rzeczy przechodzi, patrząc a nic nie widząc. Ale na to trzeba się zajmować bliżej tym światem zwierzącym, z którym bardzo wiele łączy tylko to, co z istoty swej wszystko rozłącza, t. j. strzelba; trzeba pokochać te knieje, lasy, pola, stawy i błota i ich mieszkańców. Niestety, ogół myśliwych musi mi przyznać, że za mało lub wcale nie zajmuje się zwierzyną poza tem ciasnem kołem akcyi, jaką mu zakreśla strzelanie do niej. Jak przez to cierpi łowiectwo polskie wobec zagranicy, wszyscy to dobrze widzimy i wiemy, ale z gnuśności to nas jeszcze zbudzić nie może.

Przypuśćmy, że ktoś ma piękną kolekcyę mylkusów. Bądźmy pewni, że kosztowało to dużo pieniędzy, starań i lat, a jednak ma wartość bardzo często tylko pewnego procentu od tej wartości, którą mogłaby mieć taka kolekcya, gdyby np. w każdym poszczególnym wypadku zbadano, co było przyczyną, a więc np. jaki postrzał spowodował nieprawidłowe wykształcenie się rogów, gdyby przytem podano rewir, wielkość, wagę etc. Zbadanie takie zwierzęcia nie jest znów rzeczą ani przykrą, ani nie zajmującą. Przy dobrych chęciah łatwo znajdzie się w biblioteczce myśliwskiej jakaś obszerniejsza monografia danego zwierzęcia, czy to jelenia, rogacza, daniela i t. p., albo jakieś prace traktujące o wpływie klimatu, pożywienia, stanu zdrowia, postrzałów na osadzenie rogów. Wskazówek udzieli chętnie redakcya „Łowca Polskiego" lub „Łowca" (lwowskiego), a przeczytawszy coś takiego, łatwo się można zoryentować w rzeczy i potem własnemi spostrzeżeniami podzielić w piśmie myśliwskiem z braćmi w św. Hubercie. Posuwa się przez to naprzód łowiectwo rodzime, a w dzisiejszych czasach, gdy myśliwy musi być hodowcą, spostrzeżenia tego rodzaju oddają ogromne usługi.

A tak, aż żal pomyśleć. Niemcy już dawno powiedzieli *„Kein Heger, kein Jäger"*, literatura ich i tak bogata wciąż rośnie, rozmaici *forstmeistrzy* pisują poważne prace, które często nawet w zawodowych czasopismach naukowych przyrodniczych znajdują pomieszczenie, co chyba dowodzi poważnych w każdym razie studyów. A u nas przeważnie cisza. Nie żądam, aby każdy myśliwy bawił się zaraz w uczonego, ale chodzi mi o to, aby jednostki z pośród myśliwych, które mają czas i środki, choć trochę poważniej, a nie po dyletancku zajmowały się łowiectwem. Że takich, co mają dużo czasu i pieniędzy, jest między myśliwymi wielu, chyba nikt nie zaprzeczy. A i tacy nawet, którzy większymi środkami nie rozporządzają, w ciągu swej nieraz długoletniej praktyki mogą cenne spostrzeżenia poczynić; na to trzeba tylko dwóch elementarnych rzeczy: czytać i pisać. Bez przygotowania teoretycznego, bez przejrzenia literatury danego przedmiotu trudno coś zrobić.

Niech szanowny czytelnik wybaczy, że odbiegłem nieco od pierwotnego tematu i umaczałem mimowoli pióro w gorzkim atramencie, bo już wracam i omówię sposoby zbierania i zachowywania zdobyczy myśliwskiej — w tym wypadku rogów — tak, aby one mogły posłużyć sprawie łoweickiej, aby te liczne nasze kolekcye miały wartość nietylko przeżytych wrażeń, wspomnień, ale przytem wartość naukowo-łowiecką.

Przedewszystkiem ogromnie korzystnem jest zachowywanie rogów wraz z czaszką. Pomijam już bardziej imponujący widok takiej kolekcyi zwłaszcza jelenich rogów, zwiększa to jednak ogromnie wartość samych wieńców jako materyału naukowego. W ten sposób zachowuje się więcej cech, z których można sądzić o wieku zwierzęcia. Cechami takiemi są np.: wielkość czaszki, stopień zrośnięcia się kości jej, który z wiekiem zwierzęcia wzrasta, stopień zużycia się zębów przedtrzonowych i trzonowych, wielkość kłów i siecznych. U rogacza ma to mniejsze znaczenie, ale nawet na takiej kolekcyi choćby nawet zwykłych „capich" rożków z czaszkami zachowanych, nawet nie mylkusów, możnaby niejedno cenne spostrzeżenie zrobić. Tembardziej tyczy się to jeleni, a ponieważ wiemy, że osadzone wieńce są wykładnikiem sił zwierzęcia, łatwo więc zrozumieć, że mając po sezonie cały szereg z czaszkami zachowanych wieńców jelenich z rozmaitych okolic, zaopatrzonych naturalnie dokładnemi notatkami i pomiarami, możnaby dokładnie śledzić degeneracyę, czy ogólno-krajową, czy miejscową zwierzostanów jelenich, lub takiż rozwój. Co się tyczy rożków sarnich, to tu niema dokładniejszych badań, np. co do wieku, do którego dochodzą te zwierzęta i co do formowania rożków w późniejszych latach życia, ale co do śledzenia nowych przyczyn potworności, czy nowych rodzajów — pole jest zawsze jeszcze otwarte.

(Dok. nast.)

Wyprawa myśliwska pod równik

skreślił

LEON HORODYSKI.

(Ciąg dalszy).

Żyrafy, Hyeny, Dziki, Szakale, Jeżozwierze.

Nagłówek dopełnia dotychczas opisaną faunę Br. E. A. Łączę te zwierzęta w jednym opisie, bo nie miałem sposobności poznać ich bliżej i niewiele o nich zanotuję.

Żyrafy trzymają się stadami. Te egzemplarze, które widujemy w menażeryach, lub ogrodach zoologicznych, są parodyą stworzeń żyjących na wolności.

U okazów menażeryjnych uderza przedewszystkiem nieproporcyonalność budowy, cienka szyja i wygląd suchotniczy.

Na wolnej stopie, w klimacie odpowiednim, nieproporcyonalności żadnej niema, przejście z tułowia do długiej szyi kontrastu nie stanowi, bo szyja jest stosunkowo dość gruba, ponadto samce mają piękną grzywę i ciemniejszą maść. Wszystkie stadka napotykane trzymały się z upodobaniem w drzewostanach, równających się wzrostowi, i w nich spasały górne listki. Jakkolwiek żyrafy są uważne, można je podejść z dobrym wiatrem; fotografowałem je nawet dwa razy na odległość kilkudziesięciu metrów.

Hyeny. Nie było prawie wieczoru i nocy, żeby nie odezwała się bliżej lub dalej obozu jakaś hyena, lecz, że prowadzą życie wyłącznie nocne, przeto miałem sposobność zobaczenia ich na wolności tylko trzy razy, do dnia, przy szarzejącym brzasku, oprócz tych, które złapały się na żelaza przy padlinie. W niewoli prosperują hyeny doskonale, egzemplarze widywane za kratkami, niczem nie różnią się od wolno-żyjących.

Dziwna konstrukcya ziemi w tej części Afryki, sprzyja obyczajom hyen, oprócz zwykłych kryjówek w szczelinach skał, mają bardzo obszerne, naturalne kurytarze pod ziemią, które, przypuszczam, powstały w czasie erupcyj wulkanicznych, albo później wskutek wypłukania przez coroczne deszcze. Nieraz przechodząc stepem, słyszy się dudnienie pod kopytami osła, a nierzadko spotyka się załamane miejsca z otworem. Hyeny mają zapewne nocye za pośrednictwem węchu o tych krużgankach i prosto nad nimi rozpoczynają parpanie otworów, aby się do wnętrza dostać.

Żarłoczność ich jest niesłychana, niema takiego dużego ścierwa, któremuby nie dały rady przez jedną noc. Upolowany eland nie mógł być obstawiony łapkami tego samego dnia, bo padł w znacznej odległości od obozu. Mniemałem, że z powodu wielkości zwierza i na drugi dzień czas na żelazka będzie, tymczasem uporały się hyeny tak doszczętnie za jedną noc, że powróciwszy na drugi dzień, ledwo kilka kostek odnalazłem. Nosorożca miały na dwa dni, ale tylko dzięki ogrodzeniu kolczastemu, które urządziłem dla postawienia łapek. Jest sposób dla ochrony mięsa przed żarłocznością hyen, jeżeli chodzi o zachowanie trofeów do przyszłego dnia, np. w wypadku, gdy nie było dosyć ludzi do zabrania zaraz upolowanej

zwierzyny: oto zatyka się na żerdce chustkę, jak białą chorągiewkę, tuż przy zwierzęciu. Pewnego razu, gdy nie miałem ani chustki, ani żerdzi, rozpięty surdut na krzaku spełnił tę samą usługę.

Sposób ten jest znany w całej Afryce, a szczepy, którym zależy na tem, aby umarli nie byli wykopani i zjedzeni przez hyeny, znaczą groby chorągiewkami.

Dziki-Ndżiri. Sądząc po tropach, musi być miejscami bardzo dużo dzików, lecz ukrywają się przed okiem ludzkiem w krzakach i trawach przerastających je. Widziałem kilka razy, jak dzik skoczył w trawach i znikł w mgnieniu oka, tak, że o strzale mowy być nie mogło. Jednego odyńca obserwowałem dłużej, dzięki stokowi góry, po którym szedł, strzeliłem kilka razy na znaczną odległość, ale go nie dostałem. Nazwa polska tych zwierząt „Guźce", „Warzenschwein" po niemiecku.

Szakale, wielkości naszych lisów, na wyższych nogach i o krótszym, mniej puszystym ogonie. Spód ciała i nogi są koloru rudego, grzbiet koloru stalowego, wygląda jak czaprak lekko śniegiem przyprószony. Ludzi nie bardzo się boją, można zejść je często na strzał śrótowy, również nie mają takiej przebiegłości, jak nasze lisy, i łatwo wpadają w żelaza.

Jeżozwierze. Szczególnych tych zwierząt nie widziałem, mimo wszelkich dokładnych starań, natomiast zebrałem wiele kolców, które znachodzi się na otwartych, piaskowych polanach, na ścieżkach lub nad wodą.

Trop jeżozwierza jest tak delikatny, tak mało widoczny, że niepodobna za jego pomocą odnaleść kryjówki.

Ptaki.

Pierwsze miejsce między innymi jako największemu i najczujniejszemu, należy się **strusiowi**. Do niedawna wolno było w Br. E. A. parę strusi upolować, teraz łowy na niego są zupełnie zakazane. Strusie przechadzają się dużemi stadami, często między inną zwierzyną, zwłaszcza przy zebrach i wspólnie z niemi uciekają. W miejscu, gdzie ruch jest stały, np. przy torze kolejowym, strusie, zwłaszcza samice, nie są zbyt bojaźliwe, idąc torem, spotkałem je dwa razy na strzał expresowy.

Dropie, są wielkości naszych, ruchy i lot zupełnie takie same, natomiast wygląd głowy inny. Nie mają tych charakterystycznych faworytów, ale krótki czub, umieszczony płasko na głowie i pewien wygląd przypominający czaple.

Dropiki, wielkości gęsi, przebywają tylko parami, w locie nawołują się ustawicznie ostrym, przeraźliwym krzykiem, który porównaćby można do mieszaniny krzyku bażanta i kuropatwy spłoszonej.

Skrzydeł używają prawdopodobnie w nagłych niebezpieczeństwach, skoro niespodziewanie coś ich przestraszy, a zwykle uciekają piechotą.

Pantarki chadzają wielkiemi stadami. W otwartym stepie trudno zmusić je do lotu, prędzej uciekają, niż człowiek jest w stanie biedz, natomiast napotkane w gęstych trawach lub krzakach zrywają się ciężko z krzykiem. Nocują najczęściej na drzewach nad wodą, twarde mają życie, a nie różnią się zresztą niczem od naszych domowych pantarek.

Kuraki. Gatunku tego jest bardzo wiele odmian, różnej wielkości, począwszy od rozmiarów pantarki, aż do naszej kuropatwy. Trzymają się niedaleko wody i przeraźliwymi głosami zdradzają rankiem i wieczorem swoją obecność. Krzyk zwykłych kuropatw jest także ostrzejszym od naszych europejskich.

Przepiórki. Na stepach jest ich moc wielka, idąc prosto przed siebie bez szukania, można w godzinę do zrywających się przepiórek całą torbę naboi wystrzelać. Czy są to nasze Europejczyki? nie wiem. Wydały mi się nieco ciemniejsze od naszych.

Marabuty, największe z mięsożernych, tysiącami krążą wspólnie z drapieżnymi ptakami pod firmamentem i czekają zdobyczy. Jakim sposobem dojrzeć lub dowiedzieć się mogą, że tam daleko na ziemi, pod okryciem drzew, padła jaka sztuka?

Rzecz nie wytłumaczona, dosyć, że jeszcze skóry nie zdołano ściągnąć, gdy świst skrzydeł w powietrzu, a ciężkie trzepotanie na pobliskich drzewach, świadczą, że ptaki czekają już na oddalenie się ludzi. Wiemy, w jaki sposób drapieżne ptaki z zakrzywionym dziobem i szponami mogą mięso rozdzierać, jak jednak radzą sobie marabuty z swoimi prostymi dziobami, nie mam pojęcia. Stoją prawie nieruchome, niby smutne w około ścierwa i zdają się drzemać, a tymczasem ścierwo ubywa i niknie prawie w oczach.

Sępy w kilku odmianach. Można o nich powiedzieć, że wspólnie z marabutami czuwają nad hygieną tych rozległych przestrzeni. Podobnie jak hyeny i szakale w nocy, tak ptactwo w dzień, jest w stanie największe ścierwo skonsumować przez kilka godzin. Kiedy zastrzeliłem lwicę, zależało mi na usunięciu jej szczątków na wypadek powrotu lwa, w tym celu kazałem poćwiartować mięso i części porozrzucać, aby do każdej z osobna łatwy był przystęp. Kombinacya nie zawiodła, ledwo oddaliliśmy się, całe chmury ptactwa nadciągnęły i obsiadły najszczelniej wszystkie części. Te, które kawałek oderwały, usuwały się na bok, zostawiając miejsce innym, a gdy wieczorem powracałem przez to miejsce, ledwo kilka kości zostawało dla hyen i szakali.

Krokodyle, Żółwie, Jaszczurki, Ryby.

Mogę je opisać tylko bardzo powierzchownie, bo nie interesowałem się nimi i jedynie przypadek nasuwał je przed oczy.

Krokodyla jednego małego zabił strzelec, prócz tego widywałem je na piasku nadbrzeżnym, ale nie dorównywały rozmiarami i ilością krokodylom Nilowym.

Żółwi spotykałem dwa gatunki, lądowe i wodne. Lądowe bardzo wypukłe, z pięknym pancerzem bronzowym, są dość pospolite. Żółwie wodne są płaskie, o skorupie zielonej i tak cuchnące, że niemożebnem było nieść je w rękach. Stawały się naszym łupem w małych, płytkich basenach wodnych, jeżeli nie zdołały uciec do głównego koryta płynącej rzeki

Jaszczurek małych, podobnych do europejskich, jest bardzo dużo, za okazami szczególnie pięknymi, trzeba szukać i wypatrywać. Bardzo piękną jest jaszczurka zamieszkująca stare pnie dużych drzew i szczeliny drewnianych domostw.

Jest koloru niebieskiego, z jasno żółtą głową i zielonem podbrzuszem, barwy wszystkie bardzo żywe, za oczy chwytają, wielkości około 20 cm. Jaszczury pełzające po ziemi, mają twardą łuskę, kolorem podobne do otoczenia, a szczękę tak silną, że ukąszenie bywa niebezpieczne.

Ryb ma być w większych rzekach i jeziorach bardzo wiele, tak wiele, że zarzuconą wędkę raz po razu wyciągać można ze zdobyzą. W małych wodach jest ich także dosyć, na wędkę łapały się tylko same sumy i stanowiły nieraz lukullusową biesiadę. Łowieniem ryb zajmował się zazwyczaj mój tłumacz i ludzie z karawany, którym ten sport bardzo przypadł do gustu, byli tylko niepocieszeni, że wszystkie duże ryby zrywały haczyki i uciekały.

Doszedłem do końca opisu mych spostrzeżeń nad fauną tej części Afryki wschodniej.

Ilością i rozmaitością swoją zdumiewa Europejczyka, przywykłego do naszych rzadkich i słabo zaludnionych kniei, stanowi raj dla myśliwego, z którego wyrwać mu się trudno. Życie pełne swobody i hartu, jakie tam prowadzi, ciągle w ruchu, oddychając dniem i nocą aromatycznem puszcz powietrzem, w zetknięciu bezpośredniem z bujną i piękną przyrodą, jest takiem przeciwieństwem do życia naszego kulturalnego, że tam dopiero się widzi, do jakich wygód i zniewieściałości cywilizacya przyzwyczaja.

Otrząśnienie z nich choć na czas krótki, tak jak i przejście od kwestyj słuchanych tyle razy przez człowieka w jednym kraju stale zamieszkałego, do spraw i zaga-

dnień w szerokim świecie poruszanych, niezmiernie orzeźwiająco i zdrowo oddziaływa na umysł i ciało. Obiecywałem też sobie, opuszczając puszczę afrykańską i odczuwając czar, jaki na mnie wywarła, powrócić jak Bóg da, użyć jeszcze na niezrównanym wdzięku tej przyrody, dzikiej a tęsknej zarazem.

Pustynnik Pallasa.

Jako uzupełnienie artykułu p. Artura Śliwińskiego, zamieszczonego w N-rze 13 *Łowca Polskiego* z 1-go lipca r. b., komunikuję następujące szczegóły o tym ptaku.

Pustynnik Pallasa, zwany „stepówką“, a przez Rosyan „turtuszką“, jest czemś pośredniem między gołębiem a kuropatwą, lata bowiem z szybkością gołębia i jednocześnie biega z szybkością kuropatwy. Nie ma zwartego pazura, jakim są obdarzone ptaki siadające na drzewach; dziób zaś ma w końcu zakrzywiony, jak kuropatwa, a nie dziób prosty, jak gołąb. Samiec ten się odróżnia od samicy, iż wokoło szyi ma opierzenie w rodzaju obrączki ciemnobronzowej. Ogon pustynnika Pallasa jest zbudowany w końcu, w kształcie widełek. Wielkość ptaka dorównywa naszej turkawce. Samica w ciągu roku dwukrotnie siedzi na jajach i wyprowadza za każdym razem kilkanaście piskląt. Upieczony, ma smak więcej zbliżony do gołębia, niż do kuropatwy.

Dnia 5-go października r. b. polowaliśmy na te ptaki, w cztery flinty, w okolicach stacyi Obruczewo, położonej w obwodzie Fergańskim, w generał-gubernatorstwie Turkestańskiem, na przestrzeni jedenastu do dwunastu wiorst kwadratowych stepu, na której to przestrzeni znajdowała się jedna tylko osada (Kiszłak) Sartów, ludności stanowiącej 40% ogółu mieszkańców Turkestanu, zajmującej się przeważnie rolnictwem, t. j. uprawą bawełny, ryżu, lucerny, dżugury (coś pośredniego między kukurydzą a goslanem), winogron, melonów i brzoskwiń, wreszcie hodowlą baranów i kóz. Ludność to mahometańska; mężczyzni są wzrostu dobrego, kobiety, Sarcianki zasłaniają twarz t. zw. czadrą, t. j. włosienicą wielkości naszego pół łokcia kwadratowego; podnieść czadry w obecności nietylko Europejczyka, ale nawet Sarta, z wyjątkiem męża, syna i brata, Sarcianka nie może pod grozą kary śmierci.

Na polowanie, którem kierował zawiadowca stacyi Obruczewo, wyjechaliśmy o 6-ej z rana dwoma arbami, t. j. wozami o dwóch kołach i posuwaliśmy się naprzód drogą biegnącą równolegle do plantu drogi żelaznej. Uderzyło nas to przedewszystkiem, iż na słupach telegraficznych siedzą jakieś wielkie ptaki. Nasi woźnice, Sartowie, objaśnili nas, iż są to orły lub jastrzębie, czatujące na turtuszki, które lecąc zwartemi chmarami w poprzek plantu kolei żelaznej, rozbijają się o druty telegrafu, padają na ziemię i stają się łupem owych ptaków drapieżnych. Drapieżniki te dały się nam podjeżdżać na odległość kilkunastu kroków; zaczęliśmy więc do nich strzelać, nie schodząc z arby. Moi towarzysze zabili cztery ogromne jastrzębie, ja zaś orła, którego skrzydła rozpostarte mają przeszło dwa metry.

Po godzinnej jeździe w głąb stepu, pokrytego przeważnie koluszką, t. j. rośliną ulubioną przez wielbłądy, spostrzegliśmy pierwszą, niemal chmurę turtuszek, na odległość przeszło wiorsty, unoszącą się w powietrzu. Nasz kolega, zawiadowca stacyi, objaśnił nas, iż spóźniliśmy się z wyjazdem, gdyż już nie zastaniemy turtuszek, pijących nad ranem wodę z aryków, t. j. kanałów, rozprowadzających wodę po stepach, i że najwięcej zabić można tych ptaków, jeżeli się raz strzeli do nich w chwili, gdy jeszcze siedzą nad wodą, drugi raz gdy się zrywają; nadmienił, iż udało mu się przed tygodniem z dwóch strzałów, danych w powyższy sposób, zabić 42 sztuki.

Przez blizko trzy godziny podkradaliśmy się, nieraz czołgając się, pod miejsca, na których, widziane przez lornetkę polową, siedziały setki tysięcy turtuszek. Ponieważ jednak ani razu nie udało się nam spłoszyć na odległość bliższą niż 300 kroków turtusze, strzelaliśmy je w lot, kiedy w partyach po kilkadziesiąt lub kilkanaście sztuk, przeciągały wysoko nad naszemi głowami. Z moich towarzyszy, bracia Morzyccy mieli: pięciostrzałowy brauning i sześciostrzałowy winczester, zawiadowca stacyi i ja zwyczajne dubeltówki 12-go kalibru; wszyscy czterej strzelaliśmy śrótem Nr. 2 lub 4. Po trzech godzinach podkradania się pod gromady turtuszek, zmęczeni upałem, zjedliśmy w stepie przywiezione z sobą śniadanie i około godziny 4-ej podjechaliśmy arbami na brzeg strumyka wijącego się w stepie, w nadziei, iż tam uda się nam strzelać do gromad pijących wodę turtuszek. Szczęście jednak nie sprzyjało nam. Ptaki bowiem, na które polowaliśmy, nie siadały nad wodą gromadami; że jednak po kilka lub kilkanaście sztuk, przeciągały nad naszemi głowami, strzelaliśmy do nich.

Spostrzegłszy w odległości kilku wiorst plantacyę dżugury, w której się kryją przychodzące z gór dziki (w Ferganie jest ich moc wielka), a nieraz szakale i wilki, postanowiliśmy spróbować szczęścia na te zwierzęta. Sartowie z poblizkiego kiszłaku, w liczbie kilkunastu, urządzili nam nagankę i krzycząc w miarę posuwania się przez plantacyę dżugury, wypędzili na linię, obsadzoną tylko przez nas czterech myśliwych (zmieniliśmy ładunki szrótowe na kule) szakala, który strzelany przez dwóch z pośród nas, pobiegł jeszcze ze dwieście kroków w step, gdzie go po półgodzinnem szukaniu Sartowie dobili kijami i nam przynieśli.

Kiedy już zbliżał się zachód słońca, wsiedliśmy na arby, zdążając przez step ku stacyi drogi żelaznej i nie wysiadając, strzelaliśmy po drodze do gromad czajek i do jastrzębi, siedzących na stepie, a nawet do latających gromadkami turtuszek. W czasie tej jazdy, trwającej przeszło godzinę, zabiliśmy znów kilkanaście turtuszek, kilka czajek i jastrzębia.

Kiedyśmy przybyli na stacyę, obliczyliśmy nasze trofea myśliwskie; nie były świetne, upolowaliśmy bowiem w ciągu dnia tylko: 78 turtuszek, 9 czajek, 5 jastrzębi, orła i szakala.

Nadmieniam w końcu, iż turtuszki zbijają się w stadka, potem w stada, wreszcie w kilkudziesięciotysiączne gromady w końcu września; w początkach zaś listopada, jak nas informowali Sartowie, opuszczają stepy Ferganu, i odlatują na południe i południo-zachód, t. j. ku Afganistanowi oraz Bucharze.

St. Lesznowski.

Prezydent Roosevelt jako myśliwy.

Pisma codzienne donoszą co pewien czas, że Roosevelt po ukończeniu swej prezydentury zamierza polować w Afryce na lwy i nosorożce południowo-afrykańskie, których nie posiada Ameryka. Większość czytelników zna wprawdzie Roosevelta jako wybitnego polityka, lecz nie wie, że jest zarazem jednym z najlepszych i najprawidłowszych myśliwych współczesnych. Jest on przytem subtelnym badaczem przyrody i życia zwierząt, i napisał kilka znakomitych dzieł myśliwskich, w których tak barwnie opowiada swoje przygody, że wywołują najżywsze zaciekawienie czytelnika.

Jako dziecko i młodzieniec, Roosevelt był bardzo wątły i cierpiący na piersi; ale ciągłem i energicznem hartowaniem (do czego zaliczyć należy sypianie pod gołem niebem) tak się wzmocnił, że później był w stanie znosić największe niewygody, a teraz posiada żelazną konstytucyę ciała. Gdy bawił w swej farmie, gdzie hoduje bawoły, Elkhorn, nad Mniejszą Missouri, zajmował się doglądaniem swych stad i jako zwyczajny cow-

boy pracował z pastuchami, pilnując bydła w nocy, kiedy na niego kolej przyszła, i łowiąc wybrane sztuki na lasso. Jadał wtedy z chłopami z jednego garnka i spał obok nich przy ognisku; słowem, żył zupełnie jak oni, nie przyjmując żadnych od nich usług. Cenili go też niesłychanie, a podczas wojny z Hiszpanią, z łatwością udało mu się uformować głównie z cowboy'ów, a po części ze studentów i innych żywiołów ukształconych, *„Rougy-Riders-regiment"*, który zwrócił na siebie powszechną uwagę, co w rezultacie pozwoliło mu zostać następnie w r. 1900 wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych, a po zamordowaniu Mc. Kinley'a — prezydentem. Lecz już przedtem Roosevelt zajmował wysokie stanowiska. Przed wybuchem wojny między Stanami Zjednoczonymi a Hiszpanią był wicesekretarzem ministeryum marynarki, a po zawarciu pokoju w uznaniu tej jego popularności został wybrany na gubernatora stanu New-York.

Polowania były dla Roosevelta tem, czem dla innych są wakacye letnie: odpoczynkiem po ciężkiej pracy zawodowej, wzmocnieniem ciała i ducha na łonie przyrody. Powabom życia myśliwskiego oddawał się w tych przerwach od pracy mozolnej z upodobaniem i pędził swobodne chwile w kniei i w polu.

W dawniejszych latach przed objęciem prezydentury, wybierając się do nieznanych jeszcze miejscowości na łowy, brał z sobą zawodowego myśliwego, który jest obeznany z ostępami i wagą zwierzyny. Lecz wierny starym przyzwyczajeniom, nie traktował tego przewodnika jak swego sługi, ale starał się być jego współtowarzyszem; razem z nim urządzał nocleg, przynosił drzewo, rozniecał ogień i przygotowywał jedzenie, składające się przeważnie z dziczyzny. Sam też chodził koło swego konia, pielęgnując go osobiście, a nieraz dźwigał na własnych barkach węzełki, zawierające różne naczynia, trochę mąki, herbaty i t. d.

Roosevelt uważa, że człowiek staje się dopiero wtedy naprawdę samodzelny, gdy oddalony o setki mil od zamieszkanej okolicy, sam jest w stanie się utrzymać, nie oglądając się na niczyją pomoc. Tak naprz. w roku 1889 polował w okręgu Saake w stanie Idaho, w towarzystwie starego górala, Griffina, który mu pokazał tak dużo zwierzyny, że nigdy w życiu jeszcze nie widział tyle na jednem miejscu. Pomimo to wolał pozostać bez znakomitego przewodnika i oddalił go, gdy raz stwierdził, że stary w jego nieobecności wypił wszystek koniak, przygotowany do celów leczniczych. Nie mogąc potem znaleźć innego przewodnika, polował sam w zupełnie dzikiej i nieznanej okolicy.

Tutaj też, w Idaho, miał szczęście zabić najniebezpieczniejszego zwierza z całej Ameryki, potężnego niedźwiedzia „grisly". Drugiego dnia swego pobytu samotnego dostał się w niebezpieczne miejsce nad potokiem górskim na bardzo stromej powierzchni. Zwinął więc prędko tutaj swój namiot i puścił się w dalszą drogę. Przedtem jednak wziął strzelbę i zabił jeszcze kurę leśną na kolacyę. Wtedy właśnie ujrzał niedźwiedzia „grisly", któremu posłał kulę z repetyera. Niedźwiedź ryknął straszliwie, potem puścił się w gwałtownem tempie i zniknął w krzakach. Gdy nieustraszony myśliwy wtargnął również w krzaki, rozległo się mruczenie zwierza. Odszukawszy go, dał drugi strzał, a wtedy niedźwiedź zwrócił się na Roosevelta, chcąc go zaatakować. Ale zanim doszedł, Roosevelt posłał mu trzecią kulę, a potem czwartą, gdy już był tuż przy nim. Po tym strzale odskoczył w bok i przez dym wystrzału ujrzał niedźwiedzia, rzucającego się jeszcze prosto przed siebie. Przy ostatnim skoku, runął na ziemię, trafiony wszystkiemi czterema kulami.

(Dok. nast.)

Nadzwyczajny ciąg przepiórek.

(„Łowiec").

W naszej, w tym roku kilkakrotnie przez Prut, Kozaczówkę, Kołomyjkę etc. zupełnie zalanej okolicy, było tak mało przepiórek, że zaledwie po kilka strzelaliśmy, i szukało się za niemi tylko dla przyjemności naszych... piesków! Kuropatw zdziesiątkowanych srogiemi zimami, postanowiliśmy w bieżącym roku nie strzelać, a błotka nasze zamieniły się w jeziora niedostępne, tak, że po kilku nieudałych próbach, każdy z nas zawiesił strzelbę na kołku, tem bardziej, że deszcz lał bez przerwy.

W dniu 20 października, znaleziono podczas ulewnego deszczu, w środku miasta, tuż obok Kinematografu oświetlonego światłem elektrycznem, kilka przepiórek. Miałem już podobny wypadek na stacyi w Stanisławowie, gdzie złapano raz około 50 na chatach uszkodzonych przepiórek, powiedziałem więc kolegom myśliwym, że musiało wiele przepiórek zapaść w najbliższem otoczeniu miasta, i czekałem tylko polepszenia pogody, żeby na nie wyruszyć. Dr. P. jeszcze zapaleńszy myśliwy, już 21 września, podczas deszczu, sprawdził słuszność mojego wniosku. Wybrałem się więc 29 października przed południem całkiem blisko, bo zaledwie o 100 kroków od głównej ulicy Kraszewskiego, i ubiłem w przeciągu 2 i pół godzin — z przerwą obiadową, potrzebną też do zrobienia ładunków — 44 przepiórek i chruścieli i 1-go dubelta, mając do pomocy zupełnie młodego legawca w drugiem polu. Takiej masy przepiórek razem nie widziałem nigdy. Zrywało po 3 i 4 równocześnie przeważnie z kukurydz i kartofli. Śladem moim na przestrzeni kilkuset morgowej polowało przez kilka dni około 10-ciu myśliwych i ubiło z pewnością około 1000 przepiórek. Dubelty, michałki, dopisały również, i padło ich także około 100, a siedziały przeważnie w mokrych bardzo kartoflach i ścierniach. Prezes naszego towarzystwa, nadinżynier F., który nie chciał psuć swego młodego psa w kukurydzy, i chodził przeważnie po kartoflach, ubił najwięcej dubeltów. Później dowiedziałem się, że chłopcy po wszystkich ogrodach w samem mieście wyłapali wiele przepiórek. Kilka kilometrów za Kołomyją, jak w Kamionkach i w Turce nie było ich wiele. Równocześnie był pierwszy i to obfity ciąg słonek, a kilka młodszych myśliwych niebojących się kataru, ubiło w leśnych bagnach 22 października po 6 słonek. Stan zajęcy, pomimo ciągłej słoty, zapowiada się bardzo dobrze, i widać ich wiele w polu.

Józef Łysakowski.

Kołymyja 30/IX 1908.

Z PODOLA.

.... Co to będzie, co to będzie?

Głucho wszędzie, mokro wszędzie. Właśnie nic nie będzie. Nawet porządnego polowania nie będzie, bo

...O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny.
Dżdżu krople padają i tłuką w me okno,
Jęk szklany, płacz szklany, a szyby w mgle mokną.*)

Pardon!... Zblagowałem...

O szyby deszcz jesienny nie dzwoni bynajmniej, bo od dłuższego czasu pada nie deszcz — a śnieg.

Zaiste oryginalnym i obfitującym we wszelkie nadzwyczajności jest rok pański 1908.

Primo — zorza północna, widzialna u nas w początkach czerwca.

*) Leopold Staff: „Deszcz jesienny".

Secundo — mróz, który zniszczył wiele rzeczy jednocześnie z pojawieniem się zorzy.

Tertio — trzymiesięczne deszcze, właściwe strefie podzwrotnikowej, ale nie Bożykowcom, które leżą w powiecie Latyczowskim, gub. Podolskiej, i są dość daleko od.... równika.

Następnie, trzęsienie ziemi, które we wrześniu nas nawiedziło i ostatecznie niezwykle obfity śnieg, który pokrywszy w początkach października nasze łany, doczekał się mrozu, uniemożliwiając kopanie marchwi, buraków, wożenie koniczyny i t. p. Wszystkie wyżej wymienione produkta skazane są na gnicie w ziemi, co bardzo korzystnie odbija się na urodzajności gleby, ale o wiele mniej korzystnie na... kieszeni i humorze rolników.

I mimowolnie, patrząc, jak ludzie usiłują uratować, choć trochę z przeznaczonych na gnicie produktów, patrząc na to niebo zasnute chmurami, na ów śnieg. — przychodzą na myśl słowa różnych wieszczów:

„Jasne słońce nad Podolem“...
„...Podole! kraina mlekiem i miodem płynąca!
„O wsi urocza, o wsi wesoła!.. et cetaera...

Może ktoś sądzi, że lud tutejszy jest śpiewająco wesoły?

A właśnie! — Zmarszczone brwi, zachmurzone czoła, ponure twarze...

Może ktoś myśli, iż na uprzejme pytanie z dziedziny „agronomii“ otrzyma równie uprzejmą odpowiedź?... Akurat!

Zapewne usłyszy miłą odpowiedź.

— *A naj joho choroba woźme.*

Taką jest obecnie owa „miodem i mlekiem płynąca kraina“ i w takich humorach są jej mieszkańcy.

Czemprędzej jednak przechodzę do właściwej treści tej korespondencyi — do zwierzostanu. W bieżącym sezonie było względnie dość dużo przepiórek, bekasów, chróścieli i t. p. Na błotach ciągle siedziały czaple błękitne, natomiast nie zauważono ani jednego dubelta. Jesienny przelot słonek rozpoczął się tego roku wcześniej, bo we wrześniu, wówczas gdy zwykle przypada w październiku. [2])

Tylko „kuropatwostan“ pozostał bez zmiany. Czyli — innemi słowami — kuropatw niema.

Stała się ona u nas taką samą rzadkością, jak pospolity niegdyś w tych stronach drop, lub żóraw. Polowania w kniei dadzą możność zoryentować się w ilości i stanie zwierzyny czworonożnej.

Zobór.

Korespondencye „Łowca Polskiego“.

Z powiatu Taraszczańskiego, gub. kijowskiej

(w październiku).

Jako dopełnienie i uzupełnienie do korespondencyi z Ukrainy pana Jana Sztolcmana w nr. 20 „Łowca Polskiego“, komunikującego nam o jesiennym przelocie słonek w r. b., uważam za niezbędne podać tu parę ciekawych faktów, dotyczących tego przelotu, które połączone razem z uprzednimi, dadzą nam dopiero należytą całość.

Mówię oczywiście o powiecie Taraszczańskim, gdzie przyjechałem po wielu latach z Syberyi w odwiedziny do brata mego do Lubczy. Cieszyłem się zawczasu, że po 20-m września, jak za dawnych dobrych czasów postrzelamy do słonek, których tu przed laty zwykle sporo bywało. Jakoż w dniu 14-m st. st., już udało mi się nadspodziewanie spotkać i zabić pierwszą słonkę. Tegoż dnia nie widziałem więcej. We trzy, czy we cztery dni potem zabiłem drugą, również jedną tylko spotkawszy.

Pomimo częstych i strannych poszukiwań więcej słonek nie spotykałem i już wszelką straciłem nadzieję zobaczenia się z tymi ptakami.

W październiku 5-go i 6-go nagle spadły obfite śniegi i pokryły ziemię grubą warstwą, odbijając dziwnie od zupełnie jeszcze zielonych bzów i akacyi. Robiło to przykre wrażenie, jakby wczesny, niepożądany gość wdzierał się przemocą, i gwałtem chciał swe prawa uzurpować.

Po spadłych śniegach temperatura spadła o parę stopni niżej zera i powietrze znacznie się oziębiło.

Śniegi przeleżały około tygodnia, gromadząc się w większej ilości w jarach, wądołach i między rowami po drogach. Nie powstrzymały mnie one jednak od polowania, ale o słonkach nigdzie już ani słychu. Byłem tedy najmocniej przekonany, że się z niemi więcej nie zobaczę.

Dn. 14-go października, a więc równo w miesiąc po zabiciu pierwszej słonki, jechaliśmy z bratem na znane nam, jesienne zloty kaczek, gdzie w celu polowania tego, brat mój dzierżawi wielki staw Raczkowiecki.

Przejeżdżając przez sąsiednią Ożohówkę obok dawniejszego stawiska gęsto porośniętego olszyną, łoziną, oczeretem, wierzbą i pokrzywami, gdzie rok-rocznie bywało zwykle sporo słonek i, spotkawszy miejscowego stróża, jakby od niechcenia zapytuje go brat mój, czy nie widział on czasami słonek.

Ku wielkiemu naszemu zdziwieniu słyszymy taką odpowiedź:

— A jakże, pane, jeść, wczora zihnaw dwi sluki“.

Naturalnie zatrzymujemy się gwałtownie i na poczekaniu urządzamy polowanie z naganką, do czego służą nam ów stróż Iwan Półósmak wraz ze swemi dziećmi, dziewczynką może dwunastoletnią i o parę lat młodszym, małym chłopakiem.

Zaczyna się więc bicie prętami po krzakach, Iwan trzaska wziętym od furmana batem, klaszcze na przemian w dłonie i pogwizduje.

W zacisznem dotąd ustroniu robi się nagle hałas nie do opisania. Po paru minutach wylania się z gąszczów pierwsza słonka, która mi wali przez głowę; pudłuję haniebnie.

To samo dzieje się z drugą wymykającą się dołem bokiem i chociaż tym razem było znacznie dalej, ale jakże tu nie strzelić do słonki, do tego od dawien dawna upragnionego i tak dla każdego myśliwego miłego ptaka.

Do trzeciej przez solidarność czy też z porządku rzeczy pudłuje brat, który niespodzianie wezwany w interesie odjeżdża niezwłocznie do folwarku, a ja w towarzystwie bawiącego czasowo u nas malarza P. i Iwana kontynuujemy polowanie w dalszym ciągu w obok o ćwierć wiorsty położonej, sadzonej olszynie, gdzie na kilku morgach znajdujemy jeszcze cztery słonki, z których biorę dwie. Tak tedy od pierwszej spotkanej w dniu 14-go września słonki przeszedł cały miesiąc bez słonek prawie, aż dopiero w połowie października ukazały się one w naszej okolicy w większej ilości. Jakie przyczyny na to wpłynęły i jakie z tego wyprowadzić dałoby się wnioski, pozostawiam to więcej odemnie kompetentnym ornitologom do zbadania.

Przecławski.

Lubcza, 15/28 października.

Strzelanie do gołębi.

Sezon tegoroczny na stendzie Koła Sportowego zamknięty został rozegraniem dwóch nagród: św. Huberta w d. 3-im i procentowej w d. 4-ym listopada. Rezultaty tych obu dni podajemy poniżej. Zarząd stendu czysty dochód z owych obu dni, zaaranżowanych z powodu święta patrona myśliwych, przeznaczył na cel kulturalny, mianowicie na bibliotekę ludową przy ul. Czerniakowskiej.

Po skończonym sezonie zmawiają się grupki sportsmenów, którzy w dalszym ciągu strzelanie uprawiają, co jest w każdej chwili możliwe po porozumieniu się z kancelaryą Koła Sportowego.

**) Wiadomość o przelocie słonek nie zgadza się z taką wiadomością w korespondencyi z Ukrainy, której autor twierdzi, że tegoroczny jesienny przelot słonek był późniejszy, niż zwykle. *(Przyp. Redak.).*

W ostatnich dniach Zarząd stendu nabył psa, grifona, do aportowania gołębi, obdarzonego, istotnie, nadzwyczajnym talentem w tym kierunku.

Wogóle rezultaty finansowe z działalności stendu można zaliczyć do świetnych; dochód z placu stanowić będzie znaczną podporę dla kasy naszego Koła Sportowego, które wobec małej frekwencyi na placu gier, popadłoby w kłopoty finansowe, gdyby go nie wybawił z nich dochód z *tir aux pigeons*. Ażeby jednak ten sport strzelecki, tak pomyślnie zainaugurowany, nie upadł, dział strzelania do gołębi winienby sobie wyrobić zupełną autonomię w Kole Sportowem, aby dowolnie rozporządzając swoimi funduszami, mógł wprowadzić ulepszenia i ułatwienia dla strzelających, których grono jest zbyt małe, aby stałą egzystencyę tej drogiej zabawie zapewnić mogło. Słyszeliśmy np. uwagi stałych bywalców stendu, że procent 25%, pobieranych na rzecz Koła jest za wysoki i zbyt dla strzelających uciążliwy. Może uwaga ta jest i słuszna, lecz Zarząd stendu liczyć się musi z ogólnymi warunkami bytu całego Koła Sportowego i bez szkody dla interesów Koła nie może iść w kierunku żądań strzelających.

Dalej zauważyć należy, że tegoroczne nagrody pochodziły przeważnie z darów prywatnych, co nie zapewnia stałego ich napływu i w latach następnych — a wiadomo, że dnie nagród najwięcej konkurentów gromadziły na placu. Zresztą oprócz nagród w żetonach i przedmiotach, — bardzo miłych i przyjemnych dla sportsmenów — muszą być liczniejsze i wyższe nagrody pieniężne, które stanowiłyby pewien ekwiwalent kosztów, poniesionych w ciągu sezonu przez sportsmenów w postaci wpisowych stawek i opłat za gołębie. Nagrody pieniężne stanowią siłę przyciągającą na wszystkich stendach europejskich i jeżeli nasz *tir aux pigeons* ma na widoku rozwój szerszy, musi się z tem liczyć poważnie.

J. Z.

Z placu.

Dnia 3 listopada,

Po rozegraniu 5 pul wstępnych, rozegrana została **nagroda im. św. Huberta,** (handicap), na 6 gołębi, w tem 4 rzędowe i 2 dublety, w tem jeden pełny obowiązkowy. O nagrodzie rozstrzyga ilość zabitych gołębi. Stawka 10 rb. I — przedmiot (jeleń srebrny na odpowiedniej podstawie) i 25 rb., II — 25 rb., III — stawka:

Pp.	Antoni Wolski	26	m.	11111 $^0/_1$ $^1/_1$ . . .	$^9/_{10}$.
	Stanisław Lilpop	26½	m.	111111 $^1/_0$ $^1/_0$ 1111111	$^{15}/_{17}$.
	Adam Piędzicki	25½	m.	11111 $^1/_0$ $^1/_0$ 1111110	$^{14}/_{17}$.
	Stef. Zaborowski	24½	m.	1110	$^3/_4$.
	hr. Eug. Toll	25	m.	11101 $^1/_0$ $^0/_0$ . . .	$^6/_{10}$.
	Tad. Mostowski	27	m.	11111 $^0/_0$ $^1/_0$ . . .	$^8/_{10}$.
	Artur Borzewski	25	m.	1101	$^3/_4$.

Dnia 4 listopada.

Pula, (handicap), na 3 gołębie. Wpis 3 r. I—50%, II—25%.

Pp.	Stefan Zaborowski	25	m.	1111111111111	$^{13}/_{13}$.
	hr. Eug. Toll	26	m.	1111111111110	$^{12}/_{13}$.

Strzelali również pp.: A. Piędzicki, H Kotkowski Jan Zaborowski, A. Wolski, gen. L. Tarnowski, L. Dzięgielewski, Stan. Lilpop.

Nagroda procentowa, dla strzelców, którzy nie wygrali żadnej nagrody na Warszawskim stendzie i którzy nie mają 80% zabitych gołębi przy 100 strzelanych gołębiach; handicap, na 6 gołębi. Wpis 5 rb. I—złoty żeton i 50 rb., II—30 rb., III—20 rb.

Pp.	hr. Eug. Toll	26	m.	111111	$^6/_6$.
	Stef. Zaborowski	25	m.	011111111 . . .	$^8/_9$.
	g. L. Tarnowski	26	m.	011111111 . . .	$^7/_9$.
	Adam Piędzicki	25½	m.	1010	$^2/_4$.
	L. Dzięgielewski	24½	m.	101	$^1/_3$.
	H. Kotkowski	26½	m.	00	$^0/_2$.
	T. Mostowski	27	m	1011'10	$^5/_7$.

Pula, (handicap), na 3 gołębie. Wpis dowolny (3, 5 i 10 r.).

Pp.	hr. Eug. Toll	26	m.	111111111111111	$^{15}/_{15}$	(33 r.).
	St. Lilpop	26½	m.	111111111:10 .	$^{11}/_{12}$	(15 r.).

Strzelali również pp.: Stefan Zaborowski, T. Mostowski, H. Kotkowski, gen. L. Tarnowski, Jan Zaborowski, A. Wolski, L Dzięgielewski i A. Piędzicki.

Z Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Posiedzenie Rady, 4 listopada. Rada otrzymała zawiadomienie, że strzelec Otwocki, Kralka, postrzelony przez kłusowników, umarł, pozostawiwszy żonę i dzieci. Z uwagi, że Kralka zginął przy pełnieniu swoich myśliwskich obowiązków, Rada postanowiła dać zapomogę osieroconej rodzinie 300 rb.

Posiedzenie Wydziału Ochrony i polowań, 9 listopada. Według zapowiedzi, w d. 9 b. m., odbyło się losowanie kandydatów, zapisanych na tegoroczne polowania zimowe. Zapisało się kandydatów 151, a ponieważ miejsc na wszystkich 7 polowaniach jest tylko 109, przeto 42 kandydatów będzie mogło uczestniczyć w polowaniach tegorocznych o tyle, o ile znajdą się wypadkowo wakanse.

Ponieważ terminy paru polowań zostały w ostatnich dniach zmienione, podajemy tu ponownie terminy ostatecznie obowiązujące:

Pogorzel — 21 listopada.
Tchórzowa — 28 listopada.
Lubice — 5 grudnia.
Łucznica Górna, 12 grudnia.
Jartypory, 19 grudnia.
Sobienie Dworskie, 9 stycznia.
Warszewice, 16 stycznia.

Terminy polowań na Jartyporach, Sobieniach i Warszewicach w razie nieodpowiedniej pogody mogą uledz zmianie.

Posiedzenie Rady, 11 listopada. Administracya dóbr Tomaszowskich złożyła ofertę na dzierżawę polowania tak wysoką, że Rada uznała za niemożliwe wszelkie dalsze pertraktacye.

Postanowiono skasować miejsca ochronne w majątkach i dzierżawach tych b. Członków Oddziału, którzy z powodu niewniesienia opłat członkowskich, z listy Członków wykreśleni zostali. Do tej kategoryi należy 120 miejsc ochronnych, obejmujących 3913 włók 21 morgów, ochranianych przez 342 stróżów. Rada zwróci się do właściwych naczelników powiatów o polecenie straży ziemskiej, aby zdjęła w tych miejscach tablice ochronne i odebrała stróżom bezpłatne bilety na prawo utrzymywania broni myśliwskiej. Pragnący uniknąć zastosowania tych rygorów, b. Członkowie, winni pospieszyć z ponownem przystąpieniem do Towarzystwa.

Drobiazgi myśliwskie.

Ponowne pojawienie się pustynników. Donosi nam Wojciech hr. Gołuchowski ze Skały nad Zbruczem, że dnia 12 października spotkał tam stadko pustynników czyli stepówek *(Syrrhaptes paradoxus)*. Byłby to więc powrotny ciąg tych ciekawych dla nas wędrowców. Prosimy bardzo naszych korespondentów o podawanie nam skrzętnie wszelkich wiadomości o przelocie tych ptaków.

(„Łowiec")

Dzierżawy łowieckie. W wielu wsiach w powiatach mińsko-mazowieckim i radzymińskim, gromady wiejskie uchwaliły, aby nie odnawiać kontraktów z osobami przyjezdnemi na dzierżawę polowań. Uchwały umotywowano nizką ceną dzierżawną i zbyt gwałtownem wyniszczaniem zwierzyny. Od chwili, gdy włościanie zaczną zwracać uwagę na prawidłową hodowlę zwierzyny, rozpoczną się u nas złote czasy dla myślistwa.

W sprawie hodowania gołębi. General-gubernator warszawski zniósł postanowienie obowiązujące, wydane w dniu 18-go lipca 1904 roku, zabraniające osobom prywatnym zajmować się hodowlą gołębi pocztowych.

Stemplowanie psów. W celu zabezpieczenia psów rasowych i kosztowniejszych od kradzieży w Warszawie, właściciele zaczęli je stemplować na miejscach wystrzyżonych. W ostatnich czasach wydarzyły się liczne kradzieże psów na ulicy. Psy skradzione są wywożone na sprzedaż do Cesarstwa i dlatego lepszych okazów pomimo wszelkich starań odszukać nie można.

Polowanie na kuropatwy w całym obwodzie rejencyjnym w W. Ks. Poznańskiem skończyło się 16-go listopada.

Produkcya broni w Liège, w r. 1907. Najpoważniejsze co do wielkości produkcyi zakłady puszkarskie w Liège ogłosiły ostatnio sprawozdanie ze swej działalności.

Ilość wypróbowanej broni, odnośnie do poszczególnych jej rodzajów, przedstawia się w sposób następujący:

	r. 1906	r. 1907
Oddzielne lufy strzelb	707,464	841,017
Lufy flowerowe	103,963	94,748
Lufy dla dwururek	563,288	615,069
Pistolety	244,616	299,483
Rewolwery	679,937	580,250
Karabiny wielkokalibrowe	173,018	251,341
Karabiny małokalibrowe	6,955	14,485

Ogółem na stacyi próbnej w Liège wypróbowano w r. 1907 o 237,154 sztuk rozmaitej broni więcej, niż w r. 1906.

Stemple urzędowe otrzymało w r. 1907 2,696,395 sztuk broni, t. j. więcej niż w r. 1906 o 237,154 sztuki.

Stacya próbna dała dochodu w r. 1907-ym 1,004,982. 32 franki, przy 646,733. 95 fr. wydatków.

W ostatnich czasach związek fabrykantów broni w Liège rozesłał do swych odbiorców cyrkularz, w którym oświadcza, iż wobec nawału zamówień widzi się zmuszony zrzec się odpowiedzialności za terminowe wykonanie i dostawę zamówionej broni, tak, że o ile naprz. przed 2 — 3 laty fabryka podejmowała się dostarczyć zamówioną partyę broni w przeciągu 5—6 miesięcy, o tyle dzisiaj, zanim dodatkowe budynki fabryczne nie zostaną ukończone, wcześniej niż przed upływem 8 — 9 miesięcy zamówionej broni dostarczyć nie może.

Wieś oblężona przez lwy. Całą okolicę Kondakandy, w państwie Kongo, niepokoi od pewnego czasu wielka liczba lwów. Wiele miejscowości mieszkańcy prawie całkiem opuścili. We wsi Mutombo-Kanuki, gdzie bracia zakonu św. Jakóba wystawili niedawno kościół, pozostało zaledwie 15 rodzin chrześciańskich, ale i tych biedaków trzeba będzie pod silną eskortą sprowadzić do misyi głównej, gdyż położenie ich jest nie do zniesienia; wychodzą z domów tylko w jasny dzień, i to przy zachowaniu nadzwyczajnych środków ostrożności. Około g. 3 p. p. drzwi wszystkich domów są już zatarasowane. Zboże, oddawna już dojrzałe, marnieje na polu, gdyż nikt nie waży się rozpocząć żniwa. W innej miejscowości wielu krajowców porwały lwy z domów. Dotychczas, jak obliczają, zginęło taką śmiercią przeszło 40 krajowców.

Balon w walce z kondorem. Dwóm aeronautom, oficerom meksykańskiego sztabu generalnego, zdarzyła się następująca, jedyna w swoim rodzaju przygoda. Wsiedli do balonu i wznieśli się na wysokość ośmiuset metrów. Nagle zerwało się stado kondorów, olbrzymich, drapieżnych ptaków amerykańskich. Balon i ptaki szybowały prędko naprzeciw siebie, tak, że starcie było nieuniknione.

Kondory są ptakami niezmiernie silnymi, bardzo niebezpiecznymi, więc najważniejszą rzeczą dla balonu i jego załogi było wszelkimi sposobami starciu zapobiedz. Kiedy więc stado olbrzymich ptaków okrążyło żeglarzy powietrznych, czyniąc szum wielkiemi skrzydłami, ci z łódeczki balonu wyrzucili trochę balastu i balon uniósł się o paręset metrów w górę. Całe stado pozostało poniżej balonu. Tylko najpotężniejszy kondor ruszył w górę za balonem. Kiedy się zbliżył, groziło niebezpieczeństwo, że olbrzymim dziobem kitajkę balonu przedziurawi. Jeden ze śmiałków rzucił się ku niemu z nożem, ale kondor odleciał i zbliżył się do balonu z innej strony. Strzelić do niego nie można było, w obawie, że sam strzelec balon przedziurawi. Cóż robią tedy żeglarze powietrzni? Jeden z nich, por. Maksimo obwiązuje się sznurem, który do wątłej łódeczki przymocowuje. A następnie po okach siatki, otaczającej balon, niby po stopniach drabiny, wdrapuje się coraz bardziej w górę i na bok, aż dociera do samego kondora, który zbliżającego się niebezpieczeństwa nie spostrzega. Rozlega się strzał i... kondor leci w przepaść. Tak zakończyła się walka człowieka z ptakiem — w obłokach, o przeszło wiorstę wysokości nad ziemią... według gazet amerykańskich.

Niedźwiedź jako zwierzę pociągowe. W ogrodzie zoologicznym w Hamburgu czynią się obecnie ciekawe doświadczenia; zarząd ogrodu poddaje tresurze niedźwiedzie polarne, ucząc je ciągnąć sanki. Jeżeli próby uwieńczone zostaną pomyślnym skutkiem, to zastosowanie ich w praktyce oddać może nieocenione usługi badaczom okolic podbiegunowych. Niedźwiedzie, o których wspominaliśmy, zużytkować zamierza kapitan norweski Amundsen, który w roku 1910 udaje się w podróż do bieguna północnego.

Jak przesyłać zabite kuropatwy na dalsze odległości. Aby zabita kuropatwa mogła znosić bez zepsucia się dalszy transport, należy dać jej wystygnąć możliwie szybko po zabiciu w pozycyi wiszącej. Z wysłaniem, rozumie się, nie należy zwlekać, lecz w żadnym razie nie pakować ptaków jeszcze ciepłych, gdyż takie psują się bardzo szybko. Przesyłkę najlepiej uskutecznić w koszach z wikliny lub w braku ich w innem opakowaniu, byle przewiewnem, a to w tym celu, aby wilgotne wyziewy, wydobywające się z zapakowanych kuropatw, miały swobodne ujście. Kosze lub skrzynki powinny być płaskie, najwyżej na 3 warstwy ptaków, ułożonych jedna na drugiej i przełożone suchą, długą słomą, wciągającą w siebie wilgoć. Przed ułożeniem do kosza należy każdą kuropatwę oddzielnie, nie gniotąc piór, zawinąć w papier, tak, aby z niego wystawały nogi i głowa, przez co ułatwia się odchodzenie gazów. Przy bardzo gorącym czasie i dalszej przesyłce można polecić włożenie w środek kosza pomiędzy kuropatwy pęcherza z lodem, zawiniętego starannie w papier pergaminowy, używany zwykle do owijania masła śmietankowego.

Z miłości do psa. Mąż pewnej kobiety w Hamburgu, poważniwszy się ze swą połowicą, oświadczył jej, więcej atoli żartem, niż na seryo, że jej psa pozbędzie się z domu, ażeby nie płacić za niego podatku. Zmartwiona kobieta, sądząc, że mąż rzeczywiście zamiaru dokona, powiesiła się z przywiązania do psa, zgotowawszy mu taki sam los poprzednio.

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów“ **J. O.** *(C. d.)*.

Wilga.

Gdy wilga śpiewa, będzie deszcz.

Wilk.

Aby ogonek położyć, wilczek prosi.
Albo to był wilk, albo szary pies.
Bierze wilk i liczone.
Był wilk w sieci i przed siecią.
Co wiedzieć, kogo pierwej wilk zje.
Co wilk ocharknie, to już na nic wyjdzie.
Co wilk załapie, próżno wydzierać.
Czuje wilka w życie.
Dla wilka las, dla gołębia strzecha.
Do czasu wilk owce dusi.
Gdy się wilk zestarzeje, skubie go i wrona.
Gdzie się wilk chowa, tam szkody nie robi.
Gdzie wiele wilków, psów wiele trzeba.
Gdzie wilczej skóry nie staje, lisiej nadstawić.
Gdzie wilk dzieci wodzi, tam zwykle nie szkodzi.
Głupiego wilka i cielęta liżą.
I na wilka i za wilkiem.
I na wilka przyjdzie chwilka.
I wilk syt i owca cała.
Jak wilk chowany wróci do lasu, to znowu będzie wilkiem.
Jak wilk nie głodny, to się i krowie ogonem kłania, (ucieka).
Jak wilk ogona nie nosi, to i w brzuchu nic nie nosi.
Jeśli nie wilk szary, to pies albo kot bury.
Już to głód, kiedy wilk wilka kąsa.
Już to szczwany wilk.
Każdy wilk szarą sierść ma.
Kiedy może, wilk barana zje.
Kiedy o wilku mowa, wilk przychodzi.
Kogo wilk zje, ten do nieba pójdzie.

Kto chce z wilkami przestawać, musi wyć, jak one.
Kto się chroni wilka, rad się styka ze lwem.
Kto się wilka boi, niech do lasu nie chodzi.
Kto się wilkiem urodził, ten lisem być nie może.
Łacno wilk na barana najdzie przyczynę.
Łapał wilk owce, złapali i wilka.
Ma wilcze włosy między oczyma.
Mów na wilka, mów i za wilkiem.
Mów wilkowi pacierz, a wilk woli kozią macierz.
Namówiłem wilka, zduś owiec kilka, a on mnie łap!
Nauczy się wyć, kto z wilki przestaje.
Na wilka ze szwagrem, na niedzwiedzia z bratem.
Na wilka okrzyk, a niedzwiedź pszczoły drze.
Na wilku skórę przedawać.
Nie boję się wilka, choćby było kilka: a jak zobaczę ogon, to uciekam do dom.
Nie chciał wilk, a pies wziął.
Niech wilk trawę je.
Nie dlatego wilk straszny, że szary.
Nie napędzaj wilka do lasu, trafi on sam.
Nie o wodę wilkowi idzie.
Nie pierwsza dla wilka zima.

(C. d. n.).

Treść Nr. 22 „Łowca Polskiego".

Prenumerata „Łowca Polskiego" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., **kwartalnie** 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 fran.

Pojedyńczy numer **„Łowca Polskiego"** 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„Łowca Polskiego" prenumerować można: w Kantorze Administracyi **„Łowca Polskiego"** w Kancelaryi Warszawskiego oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego **Myślistwa**, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w **Warszawie** i na prowincyi.

Listy do **„Łowca Polskiego"** adresować należy:
Smolna 40, w Warszawie.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca **Jan Sztolcman.** Druk **„Drukarni Polskiej" (L. Straszewicza). Warszawa, Jasna 2.**